WYCHODZI — CO NIEDZIELĘ.
PRENUMERATA W KRAKOWIE WYNOSI:
DO KOŃCA ROKU 4 KORONY.
NUMER POJEDYŃCZY 20 h.
20 CENTIMÓW, 20 FENIGÓW, 10 KOP.

GŁOS LITERACKI I SPOŁECZNY.

WYCHODZI — CO NIEDZIELĘ.
PRENUMERATA ZAMIEJSCOWA WYNOSI:
DO KOŃCA ROKU 5 KORON.
ZA GRANICĄ — 5 MAREK, 5 FRANKÓW ALBO 2 RUBLE.

Redaktor kierujący: KAZ. EHRENBERG. Redakcya i Administracya: Garbarska nr. 7. Telefon nr. 309. Sekretarz Redakcyi: WITOLD NOSKOWSKI

„Głos literacki i społeczny“ dołączany jest jako bezpłatny niedzielny dodatek dla wszystkich abonentów dziennika „Głos Narodu“.

Nr. 25. Kraków, dnia 30. grudnia. 1900.

Liryka warszawska.

O przyjdź nieznany i daleki,
I zaklnij myśli w słowa.

J. St. Wierzbicki.

Stara to prawda, jak świat, że Polska szła zawsze za prądami literackimi, górującymi w Europie. Spóźniała się czasem o lat kilkanaście, czasem o kilkadziesiąt, czasem biegła prawie równorzędnie. I ten ostatni wypadek zachodzi u nas od lat dziesiątka.

Ale nadchodzi reakcya.

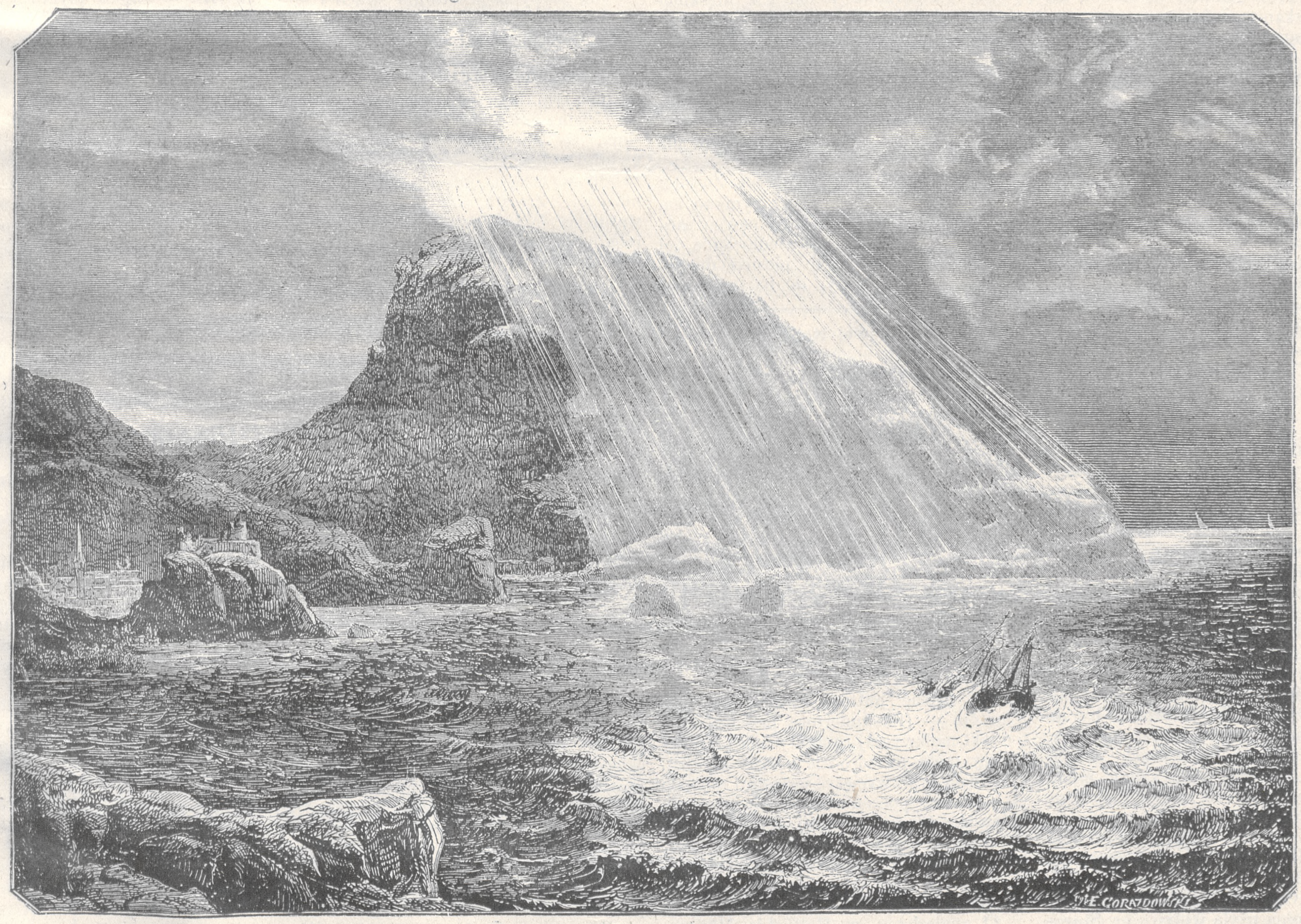
Zwrot wypływa z Niemiec. Słaby on, jak dziecko w pieluszkach wyciąga trwożliwie rączęta i paluszkiem wskazuje na pyłem pokryte tomiki poetów romantycznych, na „zbutwiałe“ malarstwo, na „przestarzałą“ sztukę.

W Berlinie wychodzi „Die blaue Blume“ Jacobowskiego i Bronikowskiego, Detlev von Liliencron i jego naśladowcy o sztuce wraz z zamiłowaniem do alkoholu. Dławią się jednem i drugiem jedni, drudzy przeżuwają z miejszym lub większym trudem — liryka idzie za powieścią. Lwów mruga ku Krakowowi, tłumi zazdrość, nieraz zanuci na dawną nutę, lecz wpływowi się poddaje.

Wśród takich okoliczności liryka warszawska zajmuje nieco odrębne stanowisko. Naturalizm jest, modernizmu prawie nie ma.

ła, — oszukiwano lud, głosząc nieprawdę. Lecz od czegóż młodzi? Oni z kijem w ręku, wulkaniczną siłą uczucia i wrażliwem sercem w piersiach, a rozumem starców, wypisanym na czole, przejdą glob, odkryją zasłonę, którą zręcznie przykryto Prawdę i ogłoszą urbi et orbi, że kłamano, że płaszczykiem obłudy tuszuje się nędzę, oni ukażą ją światu taką, jaką jest, a być nie powinna“.

Pejzaże z „Sonetów krymskich“ Mickiewicza.



Ajudah od strony zachodniej, widziany z wioski Urzuf. (Sonet XVIII.)

W Europie bowiem rozwinął swój sztandar naturalizm i modernizm. Pod ich barwy zaciągnęli się Francuzi i Włosi, Niemcy i Skandynawowie, ruszyli zwartym szeregiem starzy i młodzi. Zdarzało się wprawdzie, że gdzieś napisał ktoś coś według starej szkoły, ale po to tylko, żeby koledzy po piórze wzbronili mu wstępu nawet do przedpokoju Parnasu, żeby na czole wycisnęli mu piętno: „głupiec i nudziarz“, a dziełko jego oglądnąwszy z podziwem dla stęchłej starzyzny, rzucili w kąt.

piszą w duchu Goethowskim, Bleibtreu i Conrad grają z całym ogniem na nutę zagadnień socyalnych, a neoromantyzm zwolna wypuszcza gałązki, aby z czasem zakwitnąć, może tak, jak przed kilkudziesięciu laty?

Tymczasem Polska odwiecznym obyczajem poszła za zagranicą. Naturalizm i modernizm stał się dogmatem i przeszedł niejako w krew naszych „najmłodszych“. Powieść ubiera się w piórka naturalistyczne; Kraków bierze w posiadanie Przybyszewski i rozlewa pseudo-nowe teorye

Nie tu mówić o Konopnickiej — ta ma już ogromną przeszłość za sobą, tymczasem zajmą nas cztery postacie, Niemojewski, Wierzbicki, Gliński i Or-Ot.

Niemojewski to poeta dużej ręki. Widział z bliska tak niedolę chłopów, jak i anomalie w życiu robotników. Obdarzony gorącem sercem, chwycił pióro i, maczając je „w płynie, rzec można, elektrycznym“, stworzył cykl wierszy nie tyle związanych fabułą, ile jedną ożywionych myślą.

„Fałszywe są pomiary świata — wo-

Wszystkich tych myśli nie wypowiada autor wprawdzie w pierwszym wierszu: „kiedy kłamią“ (Kraków 1891; Poezye), ale są one konieczną konsekwencyą, jaką wyciągnąć musi każdy, kto przeczyta ten ognisty wiersz, który chętnie nazwałbym programowym.

I nie sądzę, żebym się mylił. Jeżeli bowiem przerzucimy dalej kartki, oko nasze zatrzyma się na „Brance“, na „Zjeździe obywatelskim“ i tylu innych, malujących z bezwzględną szczerością przygnębiające bezprawiem stosunki.

„Branka“ — to pobór. We wsi smutek, najdzielniejsze siły zabiorą do wojska na ciężkie, długie lata służby, zaprawią do noszenia broni, do niewiary, braku czci religii, miłości. Nieszczęśliwi chcą się oszołomić — karczma pełna, a w karczmie raz po raz brzmi:

„Jezus, Marya, wódki, żydzie,
Toż to idzie, toż to idzie!“

Dymy przesłaniają wszystko. Bezbrzeżna rozpacz ogarnia starce i dziewki. Wyobraźnia stawia przed oczy możliwą przyszłość. Oto brat spotyka na polu walki brata w nieprzyjacielskich szeregach, ojciec syna, syn ojca.... I wtedy „Nie drgnie dłoń, nie chybi celu“.

Urywa się cierpliwość, pękają nerwy, wznoszą się i kupią przeciw temu bezprawiu wszystkie siły uczucia i woli, — to taka straszna anomalia, że w istnienie jej wierzyć się nie chce, a jednak ona jest, a jednak się ją toleruje.

„Branka“ to najlepszy utwór z całego tomiku. Z taką werwą napisanego utworu, z taką plastycznością i prawdą, mojem zdaniem, nie ma u Niemojewskiego w pierwszym okresie twórczym. Dobrym jest „Zjazd obywatelski“, przesuwający nam przed oczyma dwór szlachecki na wsi i nadużycia w sprzedaży lasu; dobrym jest cykl „Bajka małżeńska“, w której panienka, zakochana w władcy poddasza, ubogim poecie, wychodzi za bogatego, zblazowanego durnia, bo dureń bogaty, a tamten... Boże się zlituj!, ale żaden nie dorówna „Brance“.

Z kolei wyszedł szereg tomików: „Polonia Irredenta“ (Lwów, 1895). Autor wiedzie nas w krainę czarnych dyamentów. Oczy zasypuje nam pył węglowy, migocą mdłem światełkiem latarki górnicze, ogłusza łoskot machin, wind, turkot staczających się po pochylni wózków.

Na tem tle przypatrujemy się bliżej nędzy górnika, straszliwym skutkom oszczędności fabrykantów, niebezpieczeństwom, na jakie jest wystawiony biedny kopacz, — gryzie nas coś w oczy, rozpiera serce, krew nabiega do skroni, mimowoli zaciskamy pięście...

Ale tu muszę zrobić pewne zastrzeżenie.

Uderza mnie bowiem fałszywa nuta. Jak długo autor objektywnie z całym rozmachem potężnego pióra maluje obce nam zresztą obrazy, wydobywa na światło dzienne rzeczy, przykryte mrokami nocy, tak długo nas podbija i czaruje. Ale z chwilą, kiedy trąci nutę subjektywną, zamienia się w agitatora. I to jest źle. Poetę zabija społecznik, społecznika poeta, wywiązuje się konflikt, a najgorzej na tem wychodzi czytelnik.

Niemojewski w dalszych pracach zostaje wiernym swej teoryi: „kiedy kłamią...“ tak w „Listach szalonego człowieka“ (powieść), jak i w „Prometeuszu“. Prometeusz pisany prozą, ale musimy mu się przypatrzeć chociaż pobieżnie, bo zawiera poniekąd pogląd autora na dzisiejszą poezyę.

Na Olimpie trwoga. Zeus traci władzę panowania nad światem, boski Apollo nad wyobraźnią i uczuciem, przepiękna Afrodyta nad sercami, rozumna Minerwa nikomu więcej nie imponuje, bo oto tłum ludzki, rozjątrzony długą niewolą, zrzucił jarzmo gniotące, idzie uwolnić Prometeusza z więzów, uwalnia i pod jego wodzą rusza na Olimp.

Jakiż sens tego obrazu? Oto upadek dawnych idei, dawnych wyobrażeń, a raczej braku tego wszystkiego w dzisiejszej literaturze modernistycznej, obojętnej na sprawy społeczne, bo Apollo dziś to kusy grajek, umiejący tylko uganiać się za nimfami, pić i śpiewać przy księżycu; czemże on wobec otwartej rany Prometeja?

Takim jest Andrzej Niemojewski.

Próby charakteryzowania jakiejś postaci literackiej jednem lub kilku słowami, wypadało zawsze koślawo. Mimo jednak odstraszającego przykładu zawrzemy do pewnego stopnia sylwetkę Józefa Wierzbickiego w zwrotce, wyjętej z jego własnego „Tańca“ (O Brzasku. Mińsk-Warszawa, 1898).

„Opowieść jak z bajek....
W zamczysku, w noc szarą,
Na skrzypcach rżnie grajek
Pieśń skoczną, choć starą“.

W Wierzbickim nie trudno odnaleźć nici, wiążących go z romantyzmem, tem samem już ogromnie miły — bierze za serce.

„Opowieść jak z bajek“ — to cykl pierwszy (O brzasku). Kłębią się w okół nas zmartwychwstałe duchy z podań i wierzeń romantycznych. Z kropelek rosy wyglądają zaklęte sylfiki, w mrocznym lesie harcują chochliki, zaklęte królewne patrzą rozmarzone w dal i z utęsknieniem wyglądają wybawcy, czarodzieje suszą głowy nad psotami, nimfy kąpią się w falach, całowanych promieniami słońca, dziwożony wabią z dziupli olch, rycerze bez trwogi o złotym włosie, w kirysach, z rozmiłowanemi oczyma i „damy w robronie“ — pieśń stara, lecz nie przestarzała.

Forma prosta, niewyszukana. Zwrotki cztero- lub dwu-wierszowe z rymami aa, bb, cc i t. d. Wyrasta z tego pewna monotonia, — ale na usprawiedliwienie jej przytoczyć trzeba, że to piosnki do jednej dostrojone harfy, do harfy pierwszego trubadura, który jeszcze nie zgubił się w fali barokowych form i foremek, nie utonął w powodzi rond, rondill i kanzon. Natomiast zaoponować musimy nawiasem przeciw takim niegramatycznościom, złożonym na karb „licenciae poeticae“, jak Edem zamiast Eden.

Nastrojowość w opisywaniu natury wówczas ma wartość, gdy opis czytelnika zmieni w słuch, oczy opatrzy okularami poety — tak, że czytelnik, zapomniawszy o rzeczywistości, przeniesie się myślą w kraj poety i widzi, co poeta przy tworzeniu widział, — czuje woń kwiatów, czy drzew, w uchu dzwoni mu śpiew ptaków, czy zbiorowy chór całej puszczy, zdaje mu się: wyciągnie rękę, ręka oprze się o pień omszałego dębu, stuknie czem głośniej — spłoszy śpiewaków, podniesie oczy — zobaczy pławiące się w krwi na zachodzie słońce.

Wreszcie odrywa oczy od książki, mimo tego czar trwa chwilę jeszcze — zanim pryśnie.

Weź Wierzbickiego do ręki i spróbuj:

„Na wschodzie księżyc złoty snuje blaski [drżące,
Z szafiru wyiskrzają się gwiazd jasnych [oczy;
Jak gdyby mrąc z tęsknoty, że zagasło [słońce,
Wieczorna zorza zwolna się chmurami [mroczy.
I błysło tam, gdzie pola w mrokach [drzemią,
Skąd schodzą białe mgły — podobne [snom...
I spoił niebo z utęsknioną ziemią
Jak pierwszy pocałunek-grom.
Jak cicho! gdzieś wśród łanów opadł wie- [trzyk szumny,
W pomroku sad się słania, niby senna [czata;
W uścisku bluszczów mdleją wiotkich bzów [kolumny,
Kwiat szuka kwiatu w ciszy, liść się z li- [ściem splata.
Cyt, jakiś szmer, szeleści gałąź krucha,
Jak gdyby szepty tłumił strach i szał;
Jak gdyby lekki pocałunek ducha
W powietrzu pełnem woni drżał.

Takich wonnych kwiatów, rozsypanych po tym tomiku (O brzasku), jest dużo.

Celem zaokrąglenia obrazu dodać musimy, że Wierzbicki nie porusza zgoła kwestyi socyalnej. Może uważa poezyę za coś wyższego, jak środek agitacyjny, może.... Zresztą, mniejsza z tem; konstatujemy fakt: Poeta, stojąc na gruncie religijnym, nie otula się w żaden sztandar.

Kazimierz Gliński, to pisarz znany powszechnie. Nie będziemy się zajmowali całym jego dorobkiem poetyckim, weźmiemy tylko do ręki „Wybór poezyi“ (Warszawa 1900.)

Czy poeta jest optymistą? Bez kwestyi. Wśród prawdziwej powodzi pessymizmu („optymistą może być tylko człowiek głupi lub waryat“), podczas kiedy każdy obarcza nos czarnemi szkłami, chociażby tylko z obawy, ażeby mu nie odmówiono prawa do Panteonu, do którego zresztą niema żadnych innych prerogatyw, Gliński, biały kruk w tym względzie nie zrzuca prawie szkiełek różowych. Nie idzie zatem, żeby świat uważał za międzynarodową sadzawkę szczęścia, żeby ludzi uważał za ideały ulepione z najszlachetniejszych kruszców według projektu poety — nie. Owszem oświadcza wręcz:

Nie ma kraju, gdzie złote kwitną kwiaty, gdzie męzkość nie gnie się nigdy, nie łamie, gdzie dobro zawsze tryumf święci, gdzie nie słowa czcze, lecz czyny wielkie promienieją, gdzie brat bratu łzę troski ociera, gdzie strach jest niezrozumiałem uczuciem, gdzie miłość nie zna końca, gdzie przyjaźń ze stali ukuto, gdzie swoboda, wolność serca ku niebu wznosi — nie ma.

Ale czy to ma nas skłonić do opuszczenia rąk z rozpaczy? Broń Boże. Mimo tego, i właśnie dlatego powinniśmy hartować wolę, nie ustawać w pracy, sercem innych podnosić — „świat cały“. Toteż gromkim okrzykiem wzywa młodzież do niemarnowania młodych sił i do wzniesienia się w górne sfery. (Wiersz I.)

Poeta „modern“ przyszedłszy do podstarzałej zresztą prawdy, że szczęście to zwodnicza mara, roztopiłby w mózgu swoim lawy na poczekaniu i przy tym ogniu zagotowałoby się od okropności. Gliński robi z tego samego miluchny obrazek — szczęście ognik, z kępy na kępę, z trawki na trawkę przelata, złudne, znikome, niedościgłe.

Ogółem biorąc jednak Gliński nie jest głęboki — często płytki. Stoi silnie na gruncie religijnym, a ze zwątpieniami załatwia się szybko i krótko, nawet za krótko. Ledwie zaczął nad czemś z zastrzeżeniem rozmyślać — już gotów, znów wierzy głęboko, niezłomnie. Słowem przewroty w jego duszy odbywają się spokojnie, walki żwawo (tak przynajmniej wygląda) i tem nie może nikomu trafić do przekonania. Również nie imponuje swojemi obrazkami z natury, które są nie złe, często dobre, ale nie pociągają, nie niewolą słuchacza.

Nie trudno też wykazać obce wpływy: Słowackiego w „Smutno mi Boże“ (for-

---

„Psubraty“.

Powieść na tle stosunków współczesnych

(Ciąg dalszy).

Kiedy Janina po otwarciu testamentu Simchy Bukszpana zamieszkała w Wiedniu w celu wyrobienia sobie stosunków, rozpisała jak wiadomo listy do wszystkich trzech sióstr Bukszpan z prośbą o wyrobienie stosunków w sferach arystokratycznych Wiednia panu Gottliebowi von Müller, za pomocą tych znajomości, jakiemi ich mężowie rozporządzali.

Odpowiedź nadeszła tylko od Malwiny Grünschild, grzeczna ale nic nie mówiąca; od Berty Starosłupskiej przysłany został hr. Opowski; od hrabiny Sary nie było znaku życia. Na powtórny list do hrabiny Arnim, odpowiedział jej mąż, sucho i zwięźle w kilku słowach, zawiadamiających, że nie może żadną miarą dawać żadnych poleceń dla Gottlieba vón Müller w którego przeszłości znane mu są pewne dość ciemne strony; hr. Arnim dodawał nadto, że przed poleceniami dla Gottlieba Müllera przestrzegł także listownie barona Grünschild. List kończył się radą aby Janina użyła wpływu hr. Starosłupskiego dla wyrobienia sobie stosunków — gdyż „Polacy na takie drobnostki jak te o które idzie odnośnie do Müllera, nie zwykli uważać“.

W listach do sióstr Bukszpan, Janina, którą one znały jako zamężną Izabellę Finländerową, przedstawiać musiała od początku sytuacyę w świetle odmiennem od rzeczywistości. O testamencie ich dziadka stosownie do jego woli, miała im nie wspominać: miljon przeznaczony na tajemnicze cele przez argentyńskiego żyda miał pozostać w absolutnej przed wszystkimi tajemnicy. Zresztą mówienie o nim nie leżało w interesie Finländerowej; mało było podobieństwa, aby mężowie Bukszpanówień okazali gotowość uszanowania zagadkowej woli starca a przeciwnie wszystko przemawiało za tem, że rozpoczną bezzwłocznie kroki prawne w celu podzielenia się między sobą resztą spadku.

Finländerowa od początku ułożyła sobie tedy system postępowania, papiery i listy z nazwiskiem Janiny Gwiazdek potrzebniejsze jej były do upozorowania tego, co się ma stać, przed wnuczkami Bukszpana, niż przed władzą. załatwiającą ceremonję adoptowania bez cienia ciekawości o przeszłość adoptowanej. Już w Paryżu, po przyjeździe do Malwiny Grünschild, opowiedziała Finländerowa, że stary Bukszpan przed śmiercią oddał jej papiery, wskazujące, iż nie była żydówką, lecz córką polskiej wieśniaczki porzuconej przez kogoś, na czyje ślady można będzie natrafić. Rozszedłszy się z mężem — (Finländerowa przedstawiała ten fakt nadzwyczaj romantycznie; schwytawszy męża na zdradzie z jakąś kreolką, nie mogła przezwyciężyć wstrętu i musiała go porzucić, poczem szczęśliwie uzyskała unieważnienie małżeństwa) — rozeszedłszy się zatem z mężem, nie ma innego celu, jak odszukanie ojca. Dlatego też wyjechała do Galicyi, aby tu rozpocząć poszukiwania.

O znalezieniu w Gottliebie Müllerze ojca, którego szukała, doniosła przyjaciółkom dopiero w owych listach, które rozesłała z Wiednia. Przypuszczała wprawdzie, że hr. Arnim mógł się zetknąć z Müllerem podczas jego stosunków z berlińskimi władzami, ale nie sądziła, aby to stanowiło zasadniczą przeszkodę w dobrych z hrabiną Sarą stosunkach, tem więcej, że jeśli Müller miał pewne cienie w swojej przeszłości, nie brakowało ich z pewnością i hrabiemu Arnim. To też list Arnima był dla Janiny niespodzianką — niespodzianką niemiłą, poza którą domyślała się czegoś, co nie było jej znanem.

Ostrożność więc nakazywała jej uwolnić się czemprędzej ze związku z Müllerem i zrzucić z siebie jego nazwisko — tem więcej, że nie dość jasnym wydawał jej się powód, dla którego przebiegły Simche Bukszpan postanowił związać ją tak zagadkowo z tym zupełnie jej nieznanym człowiekiem. W testamencie, którego tekst Janina oczywiście znała, nie było w tym kierunku wyjaśnienia; zapewne jednym z motywów była nieufność do Janiny z jednej, a z drugiej liczenie na nienawiść Müllera do tych, przeciw którym zwracać się miało budowane w marzeniach Bukszpana dzieło przyszłości. Ale mogło być i coś innego; Finländerowa zaś nie bała się nawet zbrodni, bała się jednak wszystkiego co było dla niej niedość jasne.

Nadto — po podniesieniu bukszpanowego depozytu trzeba się było ratować umknięciem na jakiś czas z Europy; trzeba to było upozorować. Nie mogła przecież przyznać, że została metresą polskiego panicza, w którego wmówiła, że powinien odegrać rolę apostoła nowej przyszłości dla swego społeczeństwa i że w tym celu powinien odbyć w Ameryce szkołę życia pracy, w jej osładzającem towarzystwie. Nie była pewną, czy z małżeństwem tak łatwo pójdzie, jak później poszło.

Wymyślenie bajki o margrabim Manzanares wszystko ułatwiało wybornie a przedewszystkiem przerywało cały związek bezpośredni pomiędzy przyszłą księżną Janiną Czarotyńską a niedawną nieprawą córką niemieckiego kolonisty, pozostającego na wątpliwych usługach berlińskiego biura wywiadowczego. Związek pomiędzy przyszłą ksienią Czarotyńską, a małżonką i wspólniczką hańby kryminalisty Finländera był oczywiście już dawno zerwany...

V.

Na ulicach Lwowa leżały pokłady śniegu. Brudna zazwyczaj stolica Galicyi wydawała się czystem, schludnem, białem, otulonem we mgły gniazdkiem Śnieżyczki. Była sobota, więc nawet roje czarnej giełdy znikły ze skwerów, które wyglądały jak senne aleje z drzewami o brylantowych liściach w jakimś zaczarowanym parku.

Na chodniku naprzeciwległym hotelu Imperial przy ulicy Trzeciego Maja, przechadzał się w eleganckim futrze bobrowem mężczyzna z czarną hiszpanką i wąsem podkręconym ku górze. Przechadzał się szybko i nerwowo, co chwila wyjmując zegarek i spoglądając w stronę parku i obserwując nadjeżdżające dorożki.

Nareszcie ujrzawszy jednę z nich obładowaną kuframi, drgnął, stanął i wszedł do bramy najbliższego domu.

Z dorożki wysiadła jakaś stara jejmość z dwiema córkami i pieseczkiem. Mężczyzna w bobrowem futrze wzruszył ramionami, założył ręce i czekał. Za chwilę zatoczyła się przed hotel druga dorożka. Wysiadło z niej dwoje ludzi, mężczyzna i kobieta. Obserwujący poruszył się niecierpliwie i wydobywszy z kieszeni futra lornetkę jął się pilnie przypatrywać wysiadającym. Po chwili jednak opuścił lornetkę obojętnie; mężczyzna był stary i siwy, pomarszczony, kobieta znacznie od niego młodsza, ale brzydka, wyglądała na jego córkę. Nie o nich szło.

Wreszcie zajechała trzecia dorożka. Za nim jeszcze portyer zdążył podskoczyć ku drzwiczkom, wyskoczył elastycznie z dorożki młody człowiek i podał rękę pięknej kobiecie.

— Tak, to chyba oni — pomyślał Adolf Spitzbart, on to bowiem czatował w bramie; — to chyba oni; według fotografii, to niechybnie jest książę Czarotyński... A więc nareszcie widzę i księżnępanią... No, teraz pogadamy we dwoje.

(C. d. n.).

ma i treść), w „Najpiękniejszej“, Ujejskiego w „Arabie“ i t. d.

Z tem wszystkiem łączy się forma wyborna, bez zarzutu. Pod tym względem Gliński przewyższa wielu swoich kolegów z Warszawy.

Z pod jego pióra, prawdziwie złotego pióra, sypią się zwrotki, rzeźbione misternie, to jubiler, który ogładza skrzętnie figurki filigranowe z pieczołowitością godną podziwu i uznania. Prawdziwie, że ze świecą trzebaby szukać usterek.

Ciekawą postacią jest Artur Oppman (Or—Ot), a ciekawą z dwóch przyczyn. Pierwsza: to poeta zupełnie dojrzały; druga: to poeta mieszczańskiej Warszawy, ego prawie unikat w swoim rodzaju.

Wydanie wyboru jego poezyi (Warszawa 1900), ogromnie ułatwia próbę schwycenia jego charakteru jako poety i jako człowieka, o ile ten ostatni w lirykach subjektywnie występuje. Na trzy bowiem główne grupy rozdzielimy poemata Oppmana. Pierwsza zawrze szkice Warszawy i starego miasta, druga pomieści wiersze liryczno-epiczne z różnych epok, o różnobarwnym charakterze, trzecia będzie zbiorem czysto subjektywnych refleksyi na tle osobistego życia, które złożą obraz poety.

Po kolei się niemi zajmiemy.

Or—Ot pochodzi z mieszczańskiej rodziny z dziada, pradziada osiadłej w Warszawie. Tradycye żyją w nim żywo, ale tradycya nie wystarcza, gra inna jeszcze nuta, która go do ukochania starego miasta z jego pamiątkami i oryginałami nie tylko skłania, lecz poprostu przymusza. Stare rzeczy mają szczególny dar wzbudzania interesu do siebie, za interesem budzą sympatyę, sympatya często roztleje w głębokie ukochanie. Nie jest to czczy frazes. Wielu ludzi skonstatowało to na sobie, historya poświadcza licznymi przykładami. Pewnie, że podatny grunt pod humanizm i romantyzm przygotowało bankructwo poprzedzających je systematów literackich i artystycznych i mnogość innych pobudek, bez kwestyi. Ale choć maleńką rólkę odegrało także zamiłowanie, powiedzmy po prostu, do starych szpargałów i starych pamiątek.

Kiedy się wejdzie do zamku królewskiego na Wawelu (względy patryotyczne odsuwamy na bok), każda sala, każdy korytarz, każda rzecz prawie budzi mnóstwo myśli. Nie potrzeba tu jakiejś bujnej wyobraźni. Nawet bez niej ciągle coś się roi, coś się jawi, coś się rozbudza, pustka ożywia, zapełnia, obrazy tworzą się skłębione, zmięszane, niejasne, i ta jakaś tajemniczość i powaga krok za krokiem potęguje zaciekawienie, sympatyę, często ukochanie.

Podobny proces psychiczny musiał się odbyć w duszy Oppmana. Przyznaje to sam w „Ofiarowaniu:“

„Pieśń starych tynów, srebrne Wisły
[szumy,
Serc prostych wiara, dusz pogoda
[grecka,
Od dziecka w pierś mą złote tchnęły
[dumy
I duszę moją urzekły od dziecka.“

Owocem zaś tego są znakomicie kreślone obrazki ze Starego miasta.

Co postać, to typ skończony w konturach i szczegółach. Pominąwszy zewnętrzne cechy charakterystyczne, chwycone wybornie, pominąwszy i to, że domy, w których akcya się odbywa, są właśnie z tego samego świata, pominąwszy wyrażenia, które często archaiczne przyczyniają się w wielkiej mierze do plastyki, same już postacie, sam sposób myślenia, przekonania, obyczaje i postępowanie są tak narysowane, że z nich odtwarza się skończony obraz całej kollekcyi typów.

Mamy więc typowego konsyliarza, który często za darmo leczy, a sławę ma nie daleką, ale rzetelną, typowego szewca, ten za swem rzemiosłem świata nie widzi, mamy trzy stare panny-dewotki, które żyją modlitwą i wspomnieniami, mamy łaciarza Dratewkę i aktora, który niegdyś tryumfy święcił, dziś Dratewce pomaga, mamy kanonika Kropidłę i podwórzowego skrzypka i klasyka i parę staruszków pod kościołem sprzedającą medaliki i szkaplerze.

Nie mniej zręcznym jest Oppman w chwytaniu obrazków z nowej Warszawy, a w cyklu „Za króla Stasia“ opiewa wypadki tak ściśle ze „syrenim grodem“ (mówiąc patetycznie) połączonych.

Druga grupa obejmuje pieśni epiczno-liryczne z różnych epok. „Średniowieczne echa“ — oddźwięk i pogłos romantyzmu, „Pieśni greckie“ — pełne siły, uczucia i języka, słabym natomiast jest opis bitwy pod Berezyną. „Romanca o złotowłosym paziu“, wzięta z „Wiosny“ Heinego:

„Był ongi Król, już stary,
O gnuśnym, siwym łbie,
Oj biedny Król ten stary
Z młodziutką żeni się.
„Był piękny paź i młody,
Gorące serce, włos jak len,
On to Królowej młodej
Jedwabny nosił tren.
„Czy znasz piosenkę starą?
Tęsknotę budzi w nas.....
Zanadto się kochali,
Musieli zginąć wraz.“

Historya więc ta sama, tylko rozwałkowana i nie bez ładniejszych szczegółów. Zakończenie nieco inne. Paź ginie, ale z królową nie wiadomo, co się dzieje, choć i ona niewątpliwie zasłużoną karą odpokutuje winę.

Prawdziwą perłą, pełnym natchnienia, prawdziwie najpiękniejszym wierszem Or-Ota jest: „Hen, na dalekiej..... na francuskiej ziemi.“ Poemat pisany 11-to zgłoskową sextyną w formie bez zarzutu, w obrazowaniu niepospolity, w treści przepiękny.

Dzieli się na dwie części. W pierwszej cmentarz, grób Juliusza Słowackiego, daleki od ojczyzny, nad nim brzoza srebrnymi listkami szemrze i rosy trzęsie na mogiłę samotną, pod którą królewskie leży serce. W księżycową noc, ciszą w uchu dzwoniącą, jawi się orszak białych duchów, duchów boleścią trawionych, skutych jednym łańcuchem — miłości Juliusza.

Te ongi dumne, lub nierozumiejące wrącej natchnieniem duszy poety, te kochane bez miary, lecz nie kochające, te rozkrwawiające serce (dziś w proch rozpadłe, lecz mimo tego żywe i wieczne), te wszystkie skazane na pośmiertną pokutę.

Z rwącem pierś łkaniem pierwsza piersią do grobowej pleśni przypadła, pierwsza, bo pierwszem była umiłowaniem poety, bo za gorącą miłość płaciła obojętnością, krwią i żółcią i bryzgana za to w pieśni — Ludwika Śniadecka.

Druga z okiem płomiennem, płocha i smutna, jak dziecko płacze cicho i

„Kładąc główkę na cmentarnej glebie
Woła żałośnie: „Kocham..... kocham
[Ciebie.“

To Kora Pinard.

Trzecia powagą i cichą rezygnacyą ogromna, nie skarży się, ani łez nie leje, jeno budząc wspomnienia z macierzyńskiem uczuciem „pieści biel kamienia“, to Eglantyna Patteck. Za nią pełna nieziemskiego czaru, nieziemskim czarem uwieczniona w pieśni Marya Wodzińska.

Korowód zamyka „ta, co mu była miłością ostatnią, ta, co kochanką była jego druha“ (Krasińskiego) — pani Bobrowa. Wszystkim im pierś łkaniem wzbiera, wszystkiem, które nieszczęsnem uczuciem z dolą jego się związały, które on pieśnią unieśmiertelnił, przychodzą wszystkie spłacić dług miłości,

„lecz ten, co niegdyś sercem był roz-
[rzutny,
już nie pożąda, ani też zazdrości.“

Wspaniały obraz! Każda postać (opuszczona Aniela Moszczyńska) uchwycona kilku rzutami doskonale, sam pomysł takiego tryumfu pozagrobowego jest potężny, w wykonaniu niezrównany, w szczegółach prześliczny.

Ale, jeżeli ton w pierwszej części jest górny, w drugiej wznosi się o skalę wyżej.

„Nikt tak nie kocha, jako śpiewak!“ Chociaż czasem wybuchnie gorąco, nawet brutalnie, to dlatego „że jest kochania psem i niewolnikiem“, ale czyż można znaleść w materyalnym, bezrozumnym tłumie, goniącym jedynie za zaspokojeniem zmysłów, serce, któreby na wieki miłością za miłość odpłaciło? Nie.

A jednak:

„.... gdyby znaleść takie serce,
To lód by można rozpalić w płomienie!
To głogi w różby zakwitły kobierce!
A skrzącem słońcem buchnęłyby cienie!
Światby nicości nie wabił daleki,
I żyćby warto na wieki!... na wieki!...

Z kolei przejdziemy do trzeciej grupy wierszy, z których spróbujemy odtworzyć poetę samego.

Cykl: „Z blizkiej.... dalekiej“ (rozumie się przeszłości) jest nie związaną ściślej wiązanką wspomnień. Więc najprzód z dziecinnych lat: małe dziecię uczy matka pacierza; ten słoneczny obrazek zawsze wówczas staje poecie żywo w pamięci, kiedy nieszczęścia i bóle ciężarem niezmiernym przygniatają mu pierś, a ożywienie takie wspomnień rodzi otuchę i nowe daje siły do dalszej walki. Jakże biedni ci, którzy nie mogą takiej znaleść pociechy.

Drugie wspomnienie jest wspomnieniem miłości. To list, to fotografia ze zbioru pamiątek budzi echa przeszłości. Czas i okoliczności rozdzieliły kochających się, głęboko cierpiało serce — dziś już się ukoiło. Cała historya zawarta w „Pamiętniku“. Kochał z początku naturalnie potajemnie, miłość rosła z dniem każdym, ale potem coś się między niemi popsuło, harmonia prysła; „bądź wymazaną życia mego karto“ — woła nawet poeta w rozgoryczeniu i oskarża „ją“, ale wkrótce po refleksyi sobie raczej winę przypisuje, ukochaną rehabilitując, choć żal do niej trudno z serca wymazać.

Trzecia, droga pamiątka: przyjaźń. Przed laty znalazł rzecz rzadką, przyjaźń kobiety, ale z tem uczuciem kryć się musieli, bo zepsuty świat dopatrywał się czegoś więcej pod maską braterskiego stosunku.

Liczne nieszczęścia i złudzenia nie zatruły jadem serca poety — owszem każdej matce radzi wszczepić w duszę dziecka dwie rzeczy: miłość i wiarę. W czyjem sercu te dwa uczucia silne zapuszczą korzenie, ten po wszystkich przeciwnościach przejdzie zwycięzko.

Poeta, podobnie jak Shakespeare wierzy, że pieśni jego będą nieśmiertelne; jak Shakespeare przyjacielowi obiecuje w pieśni życie wieczne, tak Or-Ot obiecuje ukochanej:

„Umrę, lecz pieśni moje będą żyły,
Ty w moich pieśniach będziesz żyła
[ze mną“.

Cykl „Dusza i Zmysły“ jest obrazem walk w duszy poety rozgrywających się. Broń kruszą w niej demony, pewne zwycięstwa: więc nędza, ufna, że codziennemi troskami i głodem i wstydem dumne czoło zegnie, zabijając ciało, ducha i serce; te same żywi nadzieje namiętność, która w żyłach rozpali mu ogień, rozżarzy mózg, żądze spotęguje i tym sposobem w błoto go rzuci; cynizm wreszcie, alkohol-demon zniszczenia dobije go. Lecz w rzeczywistości siły szatańskie mimo piekielnej siły nie pobiły poety: oto pieśń, która z serca płynie, pieśń kosztem zdrowia sił fizycznych tworzona, w nieśmiertelności ubiera się pióra, a potężna i szczera musi znaleść echo wśród innych ludzi, bo i inne serca cierpią, tem zaś są nieszczęśliwsze, że nawet bólów wyznać głośno nie mogą. Wiara krzepi poetę. Gdy zaś wyśpiewa z piersi wszystko, — spokojnie, nawet z uśmiechem oczekiwać będzie śmierci. A jeżeli czasem nie może zamknąć uczuć zbolałej duszy w słowa, jeżeli i opadnie go zniechęcenie, które osłabia wolę i myśl gasi, jeżeli czuje się marnym prochem, to jednak rezygnacya (rezygnacya nie jest apatyą, ani konaniem) zagości w jego sercu i chociaż wielkie nadzieje się nie ziszczą, przecież nie upadnie i nie zwątpi całkiem.

Takiej pogodnej duszy, takiej słonecznej natury, takiego charakteru, co przybrał już skończone formy kryształu, prawdziwie Oppmanowi zazdrościćby wypadało.

* * *

Gdybyśmy teraz chcieli w kilku słowach zrobić ogólny rachunek sumienia z liryki warszawskiej, gdyby nas kto zapytał, więc czy dopatrzyliście wieszcza, któryby ukochał cały naród, który przejął w siebie bóle i radości wszystkich, wszystkich był „żółcią i miodem“, któryby mógł powiedzieć o sobie: „jam jest milion...“ odpowiedzielibyśmy z Wierzbickim gorącem błaganiem, wyrywającem się ze stęsknionych serc i umysłów za ogromnem pięknem bez skazy...

„O przyjdź nieznany i daleki
I zaklnij myśli w słowa“.

St. T.

W zaraniu.

Zahuczały góry, lasy,
Przeszłość okrył mrok,
A w zaraniu lepsze czasy
Nowy niesie rok.
I od morza brzmi do morza;
„Nowy idzie wiek!“
Wnet zabłyśnie nowa zorza,
Więc się cieszy człek.
Do tych blasków, do tej zorzy
Wpatrzył oczy świat,
W jej promieniach zakwitł hoży
Nam nadziei kwiat.
I podnoszą się ramiona,
Serce szczęście śni,
Gdy za nami starzec kona,
Stare gasną dni.
Sto lat mija nam w niedoli
Drugie idzie sto,
Czy się zgoi, co nas boli,
Któż to zgadnie — kto?
Zwiodły mary i nadzieje,
Prysły zwodne sny,
Wróg się z nędzy naszej śmieje,
A nam płyną łzy.
Dużo mogił się zieleni,
Dużo uszło krwi
Czy choć przyszłość los nam zmieni,
Czy duch prawdę śni?
Nowe czasy, prądy nowe
Ogarnęły nas,
Wróg nam szarpie ziemię, mowę,
Straszny próby czas!
Nam jutrzenka jeszcze świeci
Zbawić się przez trud,
Lepsza przyszłość do nas zleci
Przez miłość i lud.
I po całej tej krainie
W stuechowy chór
Jedna wielka pieśń dziś płynie
Od morza do gór:
„Patrzcie, patrzcie! nowe blaski
Złocą nieba kraj,
Twej, o Panie, prosim łaski,
Daj nam wolność, daj!“

W. Łoboda.

Z życia króla Ottona.

Z Monachium nadchodzą wciąż niepokojące wiadomości o stanie zdrowia bawarskiego króla Ottona, który, jak wiadomo, od lat kilkunastu cierpi na obłęd. Nieszczęśliwy monarcha zapadł obecnie na silne zapalenie nerek i na kamień, co należy uważać za skutek braku ruchu fizycznego. Oddawna król Otto okazuje wielki wstręt do wszelkiego cielesnego ruchu. Aby można ostrzydz mu włosy, wybierają lekarze dzień, w którym chory jest w wyjątkowo dobrem usposobieniu; od lat kilkunastu król nie bywa wcale golony. Gdyby chciano przystąpić do operacyi wewnętrznej, która w tym wypadku koniecznie jest potrzebna, trzebaby użyć fizycznego gwałtu, co mogłoby u chorego sprowadzić apopleksyę serca.

Naród bawarski zachowuje się wobec możliwości zmiany na tronie zupełnie obojętnie, bo sytuacya nie zmieni się zgoła w niczem. Książę Luitpold z regenta zostanie królem, a syn jego Ludwik, następcą tronu — voilà tout. Zarazem olbrzymi majątek króla Ottona przeszedłby na jego następców, co wpłynęłoby niezawodnie na zmianę monotonnego nastroju, panującego na dworze monachijskim. Nikt też nie żąda od narodu sympatyi i miłości dla nieszczęśliwego 52-letniego obłąkanego, który, odgraniczony od reszty świata, wegetuje marnie, nie wiedząc, że w jego imieniu wyrokują organa sprawiedliwości, że na monetach bije się jego portrety, nikt jednak nie odmawia pożałowania godnemu monarsze serdecznego i głębokiego współczucia. Zresztą generacya współczesna nie zna prawie swego króla i mało kto widział jego twarz.

Nic w młodości Ottona nie wskazywało, jaki los czeka go w przyszłości. Jako drugi syn króla Maksa II i księżniczki Maryi pruskiej, wychowany był wspólnie ze starszym bratem Ludwikiem, i nie okazywał żadnego zboczenia umysłowego, natomiast uczył się łatwo i odznaczał się niezwykłą pamięcią. Idąc za tradycyami swego domu, służył przy wojsku jako oficer, nie interesował się jednak zawodem wojskowym.

Kiedy wybuchła wojna w r. 1870, brat jego, Ludwik II przydzielił go do wielkiej kwatery króla Wilhelma pruskiego i tu szukać należy zaczątków choroby umysłowej potomka roda Wittelsbachów. Kiedy pewnego razu Wilhelm polecił mu przyprowadzić pułk konnicy, Otto stanął na czele pułku i wykonał dziwaczny atak na... pusty mur. Całemi tygodniami nie zdejmował trzewików, tak, że musiano je rozpruwać i wkładać mu nowe. Podczas uroczystego obiadu, danego w Wersalu, z okazyi ogłoszenia Wilhelma cesarzem niemieckim, wyraził się Otto kilka razy w tak nieodpowiedni sposób, że musiano poprosić króla Ludwika, by brata swego odwołał do Bawaryi.

Powolne stępienie umysłu zaczęło się już na dobre i nie pomogła już podróż do Włoch i Hiszpanii, natomiast uznano konieczność odosobnienia go od reszty ludzi i pozostawienia pod bezustannym dozorem lekarzy. Z początku umieszczono Ottona w zamku Nymphenburg, potem w Schleisshelm, ponieważ jednak ludność monachijska zwiedza te okolice w dniach świątecznych, przeto przychodziło nieraz do bardzo niemiłych zajść i ekscentrycznych wybryków, które rodzinę królewską wystawiały na pośmiewisko tłumów. Wybrano więc w końcu ciche ustronie, Fürstenried, gdzie lekarze mogli z większą troskliwością pielęgnować chorego, a zarazem wysoki mur,

otaczający ogród, zasłaniał zamek przed okiem ciekawych.

O ile to jest możliwe, królowi Ottonowi oddaje się przynależne honory. Prawdziwa świta, złożona z marszałka v. Redwitz, barona Stengla i von Schubaerta otacza nieszczęsnego władcę, tytułuje go „wasza królewska mości," a gdy Otto urządza sobie przejażdżkę po parku, warta zamkowa prezentuje broń i miarowym krokiem postępuje za powozem. Ten jednak, któremu oddają te honory, nie zważa wcale na nie. Żyje w świecie obłędu, tępym wzrokiem patrzy przed siebie, lub rozmawia z istotami, któremi czuje się otoczony, a które istnieją tylko w jego szalonej wyobraźni. Przytem pali bez przerwy cygara lub fajkę.

Przed kilku laty odczuwał jeszcze Otto czasami swą godność, bo miewał niekiedy jaśniejsze chwile, gdzie wracała mu przytomność umysłu. Kiedy pewnego razu lekarz, towarzyszący Ottonowi na spacerze, poprosił króla o pozwolenie zapalenia sobie cygara, a nie otrzymawszy odpowiedzi, takowe zapalił, król rzekł nagle: „I ta kanalia rzeczywiście pali!"

O ile Otto rozpoznaje swoje otoczenie, nie da się napewno osądzić.

Odwiedziny wprawiają go w ogromne rozdrażnienie tak, że jego matka, królowa Marya, musiała zaprzestać u niego wszelkich wizyt.

Pejzaże z „Sonetów krymskich" Mickiewicza.



Bajdary. (Sonet X.)

Każde zbliżenie się obcego jest mu niemiłem i wywołuje na nim mimowolny strach, choć dość chętnie pozwala się ubierać i rozbierać.

Choroba, która spowodowała śmierć króla Ludwika II-go w roku 1886 w jeziorze starnbergskiem, była tym samym obłędem, na który cierpi Otto. Chłopi bawarscy nie wierzą jednak w śmierć króla Ludwika, gadają sobie po cichu, że nieprzyjaciel trzyma go w niewoli i nie chce go wypuścić. Co do króla Ottona w całej Bawaryi niema dwóch zdań.

Oddział Nr. 6.

opowiadanie dla inteligentnej publiczności

Antoniego R. Czechowa.

(Ciąg dalszy.)

Jechać gdziekolwiek i nie wiadomo dlaczego, bez książek, bez Dariuszki, bez piwa, wogóle naruszyć porządek życia, trwający przez 20 lat, taka myśl w pierwszej chwili wydała mu się dziką i fantastyczną. Przypomniał sobie rozmowę komisyi, ciężkie troski, jakie miał, wracając do domu, i powoli myśl wyjazdu na krótko z miasta, gdzie głupcy mają go za warjata, podobała mu się.

— A gdzie masz zamiar jechać? —

— Do Moskwy, do Petersburga, do Warszawy... W Warszawie najpiękniejsze chwile życia spędziłem. Jakie interesujące miasto! Jedźmy, przyjacielu!

XIII.

W ciągu tygodnia Andrzej Efimycz dostał uwolnienie ze służby, co przyjął dosyć obojętnie, a w drugim, razem z Michałem Awierjanyczem siedzieli w pocztowej karetce i jechali do stacyi drogi żelaznej. Dnie były jasne, chłodne, niebo błękitne i przeźroczysty horyzont. Dwieście wiorst przejechali w dwie doby, dwa razy nocując. Kiedy na stacyach podawano złą herbatę, albo długo przeprzęgano konie, pocztmistrz krzyczał, trzęsąc się ze złości: „milczeć, nie rozumować!" A siedząc w karetce, ani chwili nie przestawał opowiadać o swoich podróżach na Kaukaz i po Królestwie Polskiem. Ile było wypadków, jakie spotkania! Mówił głośno i robił takie oczy, że przysiądz było można, iż kłamał. Na dodatek, opowiadając, oddychał w samą twarz Andrzeja Efimycza i śmiał się nad uchem. To przeszkadzało doktorowi myśleć i rozumować.

Koleją, dla oszczędności, jechali trzecią klasą, w wagonie dla nie palących. Publiczność była dosyć przyzwoita. Michał Awierjanycz ze wszystkimi prędko się zapoznał, chodził od ławki do ławki i głośno narzekał, że nie warto takiemi kolejami jeździć. To męczeństwo, mówił. To nie to, co na koniu, machniesz przez dzień ze sto wiorst, a później jeszcze zdrowszym i rzeźwiejszym się czujesz. Jakie nieurodzaje wskutek tego, że osuszyli błota pińskie, wszędzie ogromne nieporządki! Unosił się, krzyczał i przyjść do słowa drugim nie dawał. To głośne, ciągłe gadanie, ze śmiechem i żywemi giestami, nasuwało pytanie Andrzejowi Efimyczowi:

„Kto z nas dwóch warjat? Ja, który nie chcę niepokoić pasażerów, czy ten egoista, który myśli, że jest najmędrszy i dlatego nie daje spokoju nikomu?"

W Moskwie Michał Awierjanycz ubrał się w wojskowy mundur i spodnie z czerwonemi wypustkami. Na ulicę wychodził w wojskowej czapce i w szynelu, a soldaci mu salutowali. Andrzejowi Efimyczowi zdawało się teraz, że to był człowiek, który z wszystkiego, co miał w sobie, lepsze utracił, pozostawiając głupotę. Lubił, żeby mu usługiwali nawet wtedy, gdy to było zbyteczne. Zapałki leżą przy nim na stole, widzi je, a woła chłopca, żeby je podał. Przy gospodyni nie wstydził się chodzić tylko w bieliźnie, lokajom, bez różnicy wieku, mówił „ty", a rozgniewawszy się, nazywał bałwanami, durniami. To było po chamsku, ordynarnie, ale skutkowało.

Przedewszystkiem pocztmistrz zaprowadził go do cerkwi, gdzie sam gorąco się modlił z pokłonami do ziemi i ze łzami, a kiedy skończył, westchnąwszy głośno, rzekł:

— Chociaż, bracie, nie wierzysz, a jednak zawsze spokojniej, kiedy człowiek pomodli się. Postaraj się pomodlić.

Doktor zawstydził się i zwrócił do obrazów, a Michał Awierjanycz, ruszając wargami i kiwając głową, modlił się dalej szeptem i znów łzy mu z powiek wytrysły. Później poszli zobaczyć Kremel i ową sławną armatę i dzwon, zwany cesarskim, dotykając go delikatnie palcami; obejrzeli okolicę, weszli na wieżę cerkwi Zbawiciela i do muzeum Rumiancewych. Obiad jedli u Tiestowa, a Michał Awierjanycz długo przebierał menu, wczytując się w nazwy potraw i głosem obojętnym człowieka, przywykłego do restauracyjnego życia, kazał podawać:

— Zobaczymy, czem to wy nas dziś nakarmicie?

XIV.

Doktor chodził, patrzył, jadł, pił, ale wciąż był jednakowym. Chciał troszkę swobody od towarzystwa przyjaciela, ale ten uważał sobie za obowiązek krok w krok za nim chodzić, co doprowadzało doktora do rozpaczy. Jak nie było na co patrzeć, bawił go rozmową. Dwa dni tak wytrzymał Andrzej Efimycz, ale trzeciego rano oznajmił przyjacielowi, że jest chory nieco i położy się na cały dzień. Wobec tego został w domu.

— W samej rzeczy trzeba odpocząć, bo inaczej sił nam nie starczy — mówił Michał Awierjanycz.

Doktor położył się na kanapie, twarzą do ściany i, zacisnąwszy zęby, słuchał troskliwego przyjaciela, który gorąco go zapewniał, że Francya wcześniej czy później rozbije Niemcy, że w Moskwie ogromnie dużo złodziejów, szalbierzy, i że po wyglądzie konia nie można sądzić dostojeństwa jeźdźca. Doktor wobec tego dostawał bicia serca, szumu w uszach, ale poprosić przyjaciela, aby sobie poszedł, albo zamilkł, nie śmiał przez delikatność. Na szczęście pocztmistrzowi znudziło się siedzieć w numerze i po obiedzie poszedł na spacer.

Pozostawszy sam, doktor odetchnął. Jak to przyjemnie leżeć na otomanie i odczuwać samotność i swobodę. Wewnętrzne szczęście potrzebuje samotności. Myśl — strącony anioł, dlatego zapewne zawinił przed Bogiem, ze zapragnął samotności, której w otoczeniu innych aniołów nie mógł znaleźć. Andrzej Efimycz chciał pomyśleć nad tem, co w ostatnich dniach przeszedł, ale Michał Awierjanycz ciągle mu stał przed oczyma wyobraźni.

„A przecież on wziął urlop z przyjaźni dla mnie i z dobroci" — myślał z żalem. — Chociaż nie ma nic gorszego nad tę opiekę przyjacielską, przecież i przyjaciel, choć dobry i wesoły, jednak nudny i natarczywy, do niewytrzymania natarczywy. Tacy to są ci ludzie, którzy mówią same mądre rzeczy, a jednak, poznawszy ich, dochodzi się do przekonania, że to ludzie niezbyt ciekawi.

Następnych dni Andrzej Efimycz udawał chorego, aby nie wychodzić z numeru. Położył się twarzą do ściany i całą siłę zbierał, aby wytrzymać, jak przyjaciel mówił, a oddychał wtedy, jak ten przestał. Był zły na siebie, że pojechał, a na niego za to, że coraz więcej i swobodniej gadał, a mówić poważnie wprost nie potrafił.

„To mnie już wyprowadza z równowagi, o której mówił Jan Dmitricz... poza tem wszystko głupstwo... wrócę do domu i wszystko pójdzie dawnym trybem".

W Petersburgu tak samo: po całych dniach nie wychodził, leżał na kanapie, a wstawał tylko po to, aby napić się piwa.

Michał Awierjanycz wciąż namawiał, aby jechać do Warszawy.

— Przyjacielu! i po cóż ja tam pojadę? — mówił Andrzej Efimycz proszącym głosem. — Jedź sam, a mnie puść do domu, proszę cię.

— Pod żadnym warunkiem! — protestował Michał Awierjanycz. — Przecież to cudne miasto, ja tam spędziłem pięć najpiękniejszych lat mego życia.

Ale Andrzej Efimycz nie przestał nastawać, więc i pojechali do Warszawy. Tu także doktor nie wychodził z hotelu, leżał po całych dniach i złościł się na siebie, na przyjaciela i lokajów, którzy uparcie nie chcieli rozumieć po rosyjsku. A Michał Awierjanycz, człowiek zdrowy, krzepki i wesoły, od rana do wieczora latał po mieście i odnajdywał starych znajomych. Kilka razy nie nocował w domu. Po jednej takiej nocy, przepędzonej niewiadomo gdzie, powrócił rano, silnie rozdrażniony, czerwony, nieuczesany. Długo chodził z kąta w kąt, pomrukując pod nosem, później stanął i rzekł:

— Honor, przedewszystkiem!

Pochodziwszy jeszcze trochę, złapał się za głowę i tragicznym głosem mówił:

— Tak, honor, przedewszystkiem! O, przeklęta bądź chwilo, w której postanowiłem pojechać do tego Babilonu. Przyjacielu! — zawołał, zwracając się do doktora. — Gardź mną, ja zgrałem się. Pożycz mi pięćset rubli!

Andrzej Efimycz, milcząc, odliczył pieniądze i podał. Ten, jeszcze wciąż wzruszony od wstydu i gniewu, półgłosem zaklął na siebie, włożył czapkę i wyszedł. Po dwóch godzinach, wróciwszy, zwalił się na krzesło, ciężko odetchnął i rzekł:

— Honor uratowany! Jedźmy, przyjacielu! Ani jednej minuty nie zostawajmy w tem przeklętem mieście. Rozbójnicy! australijscy złodzieje!

Kiedy przyjaciele powrócili do siebie, był już listopad, na ulicach leżał śnieg. Miejsce Andrzeja Efimycza zajmował doktor Hobotow. Mieszkał jeszcze w starem mieszkaniu, czekając przyjazdu Andrzeja Efimycza, żeby zająć jego szpitalne mieszkanie. Brzydka kobieta, którą nazywał swoją kucharką, leżała już w którejś oficynie.

Po mieście krążyły nowe o szpitalu plotki. Opowiadano, że brzydka kobieta pokłóciła się z dozorcą, a ten, klęcząc, prosił ją o przebaczenie.

Andrzej Efimycz zaraz po przyjeździe musiał sobie szukać nowego mieszkania.

— Przyjacielu — mówił mu pocztmistrz, — przebacz mi niedelikatne moje pytanie, ale jakie masz środki i zasoby pieniężne?

Andrzej Efimycz zrachował swoje pieniądze i rzekł:

— Ośmdziesiąt sześć rubli.

— Ale ja nie o to się pytam — nie zrozumiawszy doktora, mówił: — Ja pytam się, ile masz wogóle?

— Przecież ci mówię: ośmdziesiąt sześć rubli. Więcej nie posiadam nic.

Michał Awierjanycz uważał zawsze doktora za uczciwego i prawdomównego człowieka, ale podejrzywał, że ten ma jakiś kapitał, choćby ze dwadzieścia tysięcy. Teraz, usłyszawszy, że Andrzej Efimycz ubogi, że nie ma z czego żyć, serdecznie uścisnął przyjaciela, a w duszy zrobiło mu się niezmiernie przykro.

XV.

Andrzej Efimycz wynajął mieszkanie u mieszczanki Biełowoj, w domu o trzech oknach. Tam były tylko trzy pokoje, nie licząc kuchni. Dwa frontowe zajmował doktor, a w trzecim z kuchnią mieszkała Dariuszka z gospodynią i trojgiem jej dzieci. Zazwyczaj do gospodyni przychodził kochanek, pijany chłop, burszujący po nocach, który na Dariuszkę i dzieci napędzał przerażenie. Kiedy przyszedł i, siadłszy w kuchni, chciał wódki i krzyczał, doktor z litości brał dzieci do siebie i to mu robiło wielką przyjemność.

Wstawał, jak dawniej, o ósmej, a po herbacie czytał stare książki i gazety. Na nową prenumeratę nie miał pieniędzy. Może dlatego, że czytał rzeczy już mu dobrze znane, czytanie nie robiło mu wielkiej przyjemności i męczyło. Żeby nie próżnować, układał katalog i przyklejał na grzbietach kartki. To mechaniczne zajęcie wydało mu się więcej zajmujące, niż czytanie. Jednostajna robota unicestwiała jego myśli, a że nie zastanawiał się nad niczem, czas mu szedł szybciej. Nawet siedzenie w kuchni i obieranie kartofli wydawało mu się więcej zajmującem. W soboty i niedziele chodził do cerkwi. Stojąc przy ścianie i mrużąc oczy, słyszał śpiew i myślał o ojcu, o matce, o uniwersytecie, o religijnych dogmatach, i było mu spokojnie, choć smutno, a wychodząc, żałował, że nabożeństwo tak prędko się kończy.

Dwa razy odwiedzał w szpitalu Jana Dmitricza, ale ten zawsze był wzburzony i zły, prosił, by mu dano spokój, bo mu się sprzykrzyła pusta gadanina, i że tylko jednego pragnie od podłych ludzi, tego, aby go zamknięto osobno. Dlaczegóż mu i tego odmawiają? Gdy doktor żegnał się z nim i życzył spokojnej nocy, zawsze Jan Dmitricz mówił mu: „idź do djabła".

I Andrzej Efimycz nie wiedział, czy jeszcze wybrać się kiedy do niego, czy nie. A ochoty nie brakło.

Dawniej, po obiedzie Andrzej Efimycz chodził po pokoju, rozmyślając, teraz leżał na kanapie, obrócony do ściany, i nie mógł się opędzić ciężkim myślom, które go trapiły. Było mu przykro, że po dwudziestoletniej pracy nie dali mu ani pensyi, ani choćby wsparcia jednorazowego. Pieniędzy nie miał. Wstydził się przechodzić około sklepu i spotykać z gospodynią: za piwo winien już był 32 ruble, a gospodyni też był dłużny. Dariuszka pokryjomu sprzedaje stare ubrania i książki na życie, a okłamuje gospodynię, że doktor niedługo dużo pieniędzy dostanie.

A on, biedak, martwił się, że na podróż stracił tysiąc rubli, które sobie był zaoszczędził. Jakby mu się teraz przydały! Przykro mu też było, że ludzie nie dają mu spokoju. Hobotow uważał sobie za obowiązek odwiedzać czasem byłego kolegę. On był taki inny, niż Andrzej Efimycz: pełna twarz i głupi ton mowy, i nawet słowo „kolega", i wysokie buty, a głównie jeszcze to, że chciał leczyć Andrzeja Efimycza. Za każdą wizytą przynosił z sobą szklankę z bromem i pigułki rabarbarum.

I Michał Awierjanycz uważał za obowiązek odwiedzać go. Zawsze wchodził ostrożnie, śmiał się przymuszenie i natarczywie zapewniał, że doskonale wygląda, i że wszystko, dzięki Bogu, jest lepiej, a z tego można było wnioskować, że położenie przyjaciela jest beznadziejnem. Nie oddał mu jeszcze długu, zaciągniętego w Warszawie; był tem przygnębiony i wstydził się, a chcąc to ukryć, starał się mówić coraz weselej. Jego anegdotki w tem usposobieniu stały się dla nich obydwóch niewesołe i męczące.

W jego obecności kładł się doktor na kanapie i niby słuchał, ścisnąwszy zęby. Organizm jego wtedy cierpiał. Czuł duszność, która coraz częściej go chwytała.

(C. d. n.)

Tłóm. Bronisława Jeremi.

Michał Dymitrowicz Gorczakow.

(Ciąg dalszy.)

Poczucie prawdy nakazuje dodać, że nagrody otrzymywane przez Gorczakowa przy Paskiewiczu, nigdy nie były spowodowane wyżej przytoczonemi burzami, które tak często wybuchały nad głowami innych jenerałów. Paskiewicz nie pozwalał sobie wobec Gorczakowa na nic podobnego, co spotykało Wikińskiego, Storożenkę, Abramowicza lub Tichanowskiego.

Jenerał-porucznik Wikińskij był w epoce opisywanej dyżurnym jenerałem czynnej armii. — Jenerał-porucznik Andrzej Jakowlewicz Storożenko, był oberpolicmajstrem miasta Warszawy, potem głównym dyrektorem w komisyi spraw wewnętrznych. Jakiś czas przewodniczył śledczej komisyi W roku 1849 wpadł w niełaskę i wówczas jego miejsce w komisyi spraw wewnętrznych zajął Wikińskij.

Ignacy Abramowicz z początku był adjutantem przy Paskiewiczu, potem dowódzcą warszawskich żandarmów, oberpolicmajstrem miasta Warszawy, w końcu dyrektorem teatrów i zawiadowcą cesarskich pałaców. Na tem stanowisku, w stopniu jenerała-porucznika, zastały go rządy ks. Gorczakowa.

Jenerał-major Mykita Mikołajewicz Tichonowskij, przed i w czasie kampanii węgierskiej pełnił obowiązki jenerał-intendenta czynnej armii. W 1854 roku uwolniony, został zaliczony do sztabu.

Paskiewiczowi wystarczyły poddanie się i pokora księcia Gorczakowa. Zresztą straszny i nieugięty despota nigdy nie zapominał się do tego stopnia, by nie rozróżnić, kogo można i należy od czasu do czasu przycisnąć do ściany, z kim zaś to jest zbyteczne a nawet niezupełnie bezpieczne. Gorczaków przez cały czas swej służby przy *Świetlejszym*, zaliczał się do tych ostatnich. Raz tylko, w czasie wojny węgierskiej, w obozie pod Debreczynem, gdy w namiocie feldmarszałka zaczęto mówić o powodzeniach Radeckiego w wojnie włoskiej 1847 i 1848 roku, niezręczny Gorczaków zdobył się na uwagę, że „Radecki miał znakomitego szefa sztabu." Powiedzenie to wobec człowieka, który przez całe swe życie uważał szefa sztabu za organ zupełnie zbyteczny, rozgniewało Paskiewicza, to też jak tygrys raniony, podbiegł do Gorczakowa i uderzając go kilkakrotnie palcem po nosie, powtarzał: „szef sztabu, zero! szef sztabu, zero!".

Nic podobnego już więcej Gorczakowa nie spotkało. Zresztą... i to wystarczyło... Paskiewicz wiedział doskonale, że i bez przyciskania do ściany człowiek ten ma dosyć za swoje, dlatego też stale przemyśliwał nad wynagrodzeniem go w sposób odpowiedni. Te lub owe ordery, gwiazdki na szlifach, i tym podobne rzeczy, mogły zaspokoić takich Abramowiczów lub Wikińskich, ale nie wystarczały dla Gorczakowa za wszystko, czego musiał wysłuchać i na co się napatrzeć w ciągu tych dwóch, nieskończenie długich dziesięcioleci swej służby przy feldmarszałku.

Nie mijały go nagrody, jakie nań przypadały z kolei, lecz w myślach Paskiewicza przygotowywało się dla niego wyższe, wyjątkowe wyszczególnienie, które nie każdego zasłużonego spotykało jenerała. W 1843 roku Gorczaków awansował na jenerała artyleryi, następnie zamianowany szefem (właścicielem) brańskiego pułku strzelców; otrzymał ordery austryackie: św. Leopolda i św. Szczepana; sycylijski św. Januarego; pruskie: czerwonego i czarnego orła i *pour le mérite;* bawarski korony i t. d.

Przy rozpoczęciu wojny z Turcyą w 1853 roku, na przedstawienie Paskiewicza, księciu Gorczakowowi poruczono dowództwo armii, mającej zająć księstwa naddunajskie. Jednak cesarz Mikołaj bardzo był niezadowolony z jego działań, i gdy w lutym 1854 roku Paskiewicz objął naczelne dowództwo, cesarz zamierzał go zupełnie odwołać z czynnej armii, jedynie w tym celu, aby przeszkodzić Paskiewiczowi zrobienie go ponownie swoim szefem sztabu. Widać to z listu do Gorczakowa, który umierający już Paskiewicz podyktował S. T. Paniutynowi dnia 16. września 1855 roku. Autetyczność tego listu stwierdza fakt, że syn Paskiewicza list ten, odnaleziony w papierach swego ojca, odczytał w Homlu sąsiadowi swojemu, M. M. Gerardowi, który następnie został starszym prezesem warszawskiej izby sądowej, i o czem ten opowiadał autorowi. „Z przytoczonej powyżej rozmowy ze ś. p. cesarzem, możesz książe osądzić, że los wasz był w mojem ręku. Wystarczało bym milczał, aby się przeznaczenie wasze spełniło." Paskiewicz powstrzymał tę decyzyę cesarza, a gdy jakoby został zraniony pod Sylistryą, dnia 28. maja 1854 roku i opuścił armię, Gorczaków ponownie objął dowództwo nad Dunajem.

Podczas rekonesansu Paskiewicz oświadczył, że się czuje kontuzyonowany od kuli działowej, która się koło niego przetoczyła. Są niektóre poszlaki, że myśl tę mu poddano... on zaś powiedział „tak, jestem kontuzyonowany". Wyjechał do Petersburga, a następnie wrócił do Warszawy, gdzie umarł.

Niepomyślne działania księcia Menszykowa w Krymie i pod Sebastopolem w końcu 1854 roku wymagały zmiany dowództwa. Właściwie zaś mówiąc, trzymający bank w faraona, gdy mu nie szło, zażądał nowej talii kart. Na nieszczęście podana talia nie była ani nowa, ani lepsza. Znowu za poradą Paskiewicza, zastąpił Menszykowa ten, tak często zwyciężany i poniewierany książę Michał Gorczaków.

Gorczakowa z początku naznaczono na naczelnego wodza armii południowej z główną kwaterą w Kiszyniewie. Gorczaków tak się ucieszył tą nominacyą, że skakał z radości jak dziecko, a kuryerowi, który przywiózł tę szczęśliwą depeszę, dał sto imperyałów, Autorowi, służącemu wówczas także w armii południowej opowiadali to zaraz, adjutanci księcia. Następnie w lutym 1855 roku, gdy książę Menszyków zażądał uwolnienia, polecono mu udać się bezzwłocznie do Sebastopola i objąć naczelne dowództwo lądowych i morskich sił, działających w Krymie.

Stało się to przed samą prawie śmiercią Mikołaja. Nowy cesarz potwierdził nominacyę i książę Gorczaków z całym swym ogromnym sztabem i mnogimi adjutantami przeniósł się do Krymu. Co to za uganianie nastało podówczas między Kiszyniewem a Sebastopolem i ile to pocztowych koni zapędzono na śmierć!

Tak hojnie wynagrodził długoletnią cierpliwość i poddanie się swego szefa sztabu wszechmocny feldmarszałek! — Wszakże potem żałował tego, jak to dowodzi następujący ustęp z owego wyżej powołanego listu: „wyznaję. żem zawinił wobec ojczyzny, pomagając do wyniesienia was, książę, na stanowisko, które obecnie zajmujecie".

W Sebastopolu bardzo prędko zaczęto mówić: „mimo to zawsze jesteśmy bez wodza".

Rzeczywiście, noszący to głośnobrzmiące miano, zgrzybiały, roztargniony, plączący się w słowach i w myślach starzec, nie wyglądał na naczelnego wodza. Wzrok jego do tego stopnia już wówczas był osłabiony, że trzeciej, obok siedzącej przy stole osoby, nie mógł rozpoznać. Słuch, a raczej cały organizm, tak już był przytępiony, że jeszcze w Kiszyniewie nie słyszał muzyki wojskowej, gdy o kilkanaście kroków przegrywała przed główną kwaterą. Cóż dopiero w Sebastopolu. Przechadzki jego nigdy nie miały jakiegoś wyraźnie zamierzonego celu, lecz, jak dziecko, łaził po obozie bez myśli i planu.

Najczęściej zachodził do namiotu swego szefa sztabu, małego Kotzebuego, gdyż tam potrafił dostać się sam, bez przewodnika. Namiot ten był oddalony o jakie piętnaście kroków od lepianki, w której się mieścił wódz naczelny. Kotzebue opowiadał, że Gorczaków przychodził do niego często w nocy, siadał na łóżku i zaczynał mówić bez przerwy. Najczęściej przedstawiał smutną przyszłość. Kotzebuemu z trudnością udawało się go uspokoić. Gorczaków wracał wówczas do swej lepianki. Musimy zrobić uwagę, że podówczas właśnie Kotzebue był tą jednostką, obok której zero Gorczaków przedstawiał jakąś określoną cyfrę.

Wszelkie inne dalsze wyprawy, czy to do dyżurnego jenerała, czy do naczelnika artyleryi lub inżynieryi, czy też do atamana kozaków, książę odbywał w towarzystwie przewodnika, kozaka. Zdala można było spostrzedz oryginalną, cienką postać, w narzuconym na plecy szarym, wojskowym paltocie, w czapce z półłokciowym daszkiem, sterczącym jak dziób kroczącego szerokimi krokami bociana.

Zdarzało się, że kozak nie dosłyszał dobrze, dokąd mu nakazał prowadzić się mruczący jak zwykle pod nosem jenerał. Nie śmiejąc zapytać się, szedł na los szczęścia i nie rzadko przyprowadzał go nie tam, gdzie miał polecone. Wypadały stąd pocieszne nieporozumienia. Gorczaków nikogo nie mógł rozpoznać, więc mając coś do powiedzenia jenerałowi dyżurnemu, wypowiadał to naczelnikowi artyleryi lub na odwrót.

W podobny sposób zwiedzał i bateryc, wysunięte na linii bojowej. Bóg wie poco; kogo on tam mógł natchnąć męstwem i zapałem, on, niepopularny, prawie nieznany żołnierzom i majtkom? Czy widział co, czego nie dostrzegł? Odjeżdżając zwykł był nucić pod nosem jakąś francuską piosneczkę, najczęściej: *je suis soldat français.*

Przedewszystkiem dziwny, a nawet wprost nieprzyzwoity bywał książę Gorczaków na wszystkich wojskowych nabożeństwach. Zachowywał się jak dziecko, gwałtem przyprowadzone na mszę, które się nudzi nie do wytrzymania. Co chwila się odwracał, nieraz stając zupełnie tyłem do ołtarza i wziąwszy się obydwiema rękami pod boki, przypatrywał się żołnierzom i oficerom, ma się rozumieć, nic nie widząc w dodatku. W takiej postawie nieraz się zapomniał i przestał prawie przez cały czas nabożeństwa. Gdy wypadało przyklęknąć, to go męczyło, podsuwał się do którego z jenerałów i rozmową, pół szeptem, pół głośno prowadzoną, starał się skrócić nudę chwil takich. W tych właśnie okolicznościach wyjawiał się człowiek nietylko pozbawiony taktu, roztargniony i zapominający, lecz nadto nie posiadający nawet tego pierwiastkowego religijnego wychowania, któreby wskazywało, jak się należy zachować wobec obrzędów i zwyczajów religijnych. I pod tym względem był to więcej francuz niż rosyanin.

Różne anegdoty i opowiadania, przechodząc z ust sztabowców, rozszerzały się w kołach wojskowych. Czyż mogła armia zachować należną cześć dla takiego wodza, który co chwila bywał przedmiotem ogólnych drwin i dowcipów? Znana to maksyma znakomitych wodzów, w starożytności i najnowszych czasach; maksyma Napoleona I.: „jeśli chcesz, by cię słuchano, nie możesz być nigdy śmiesznym dla swych podwładnych."

O kierownictwie Gorczakowa sprawami wojskowemi nic się nie da powiedzieć; szły one, jak niemi pokierował szef sztabu, mały Kotzebue, który miał szczególniejszy talent uchylania się od jakiejkolwiek odpowiedzialności. W takich chwilach jedynka zwykle się odłączała gdzieś od zera, które, pozostawione samemu sobie, nieporadne i biedne, wszystko gmatwało, zapominało, znów przypominało, by za chwilę zapomnieć na nowo... ostatecznie zawsze znaleźli się polegli, na których można było zwalić błędy, jak np. w bitwie nad Czarną rzeczką z dnia 4go sierpnia 1855 roku.

O tej bitwie wyraża się Paskiewicz w wyżej powołanym liście: „Bitwa pod Czarną pozostanie wieczną hańbą w naszej wojennej historyi".

Okrutna francuska karykatura, wydana po tym dniu fatalnym, nadzwyczaj trafnie scharakteryzowała ówczesnego naczelnego wodza krymskiej armii. Przedstawia ona Gorczakowa, trzymającego w jednym ręku *ordre,* w drugim *contre-ordre,* na czole zaś ma napisane: *desordre.* Sprawiedliwy to portret księcia, nietylko w owe dni nieszczęsne, lecz z całego jego życia.

A mimo to trzymano go na tem stanowisku, i pozostawionoby nadal tak długo, jak długo istniałaby krymska armia, gdyby nie zaszła śmierć Paskiewicza.

Widzieliśmy, w jakich warunkach zamianowany został miękki i słaby, a w dodatku co tylko sromotnie pobity przez Turków i Francuzów książę Gorczaków, na miejsce nieżyjącego feldmarszałka. Widzieliśmy, co myślał wtedy rząd o Polsce; teraz zaś możemy dodać i to jeszcze, że w chwili nadzwyczajnych zmian i reform, od których rozpoczęło się panowanie Aleksandra II., gdy po niezmierzonych przestrzeniach Rosyi, powiało ciepłem, krymskiem powietrzem, gdy wszystkie rosyjskie oblicza były uśmiechnięte i pełne jakiejś błogiej nadziei, dziwnemby było, gdyby na miejsce zmarłego namiestnika osadzono kogoś podobnego, jakiegoś Paskiewicza drugiego.

Wszyscy byli przekonani, że bezpowrotnie wybiła ostatnia godzina dla wszelkiego rodzaju Paskiewiczów, i że oni nie są już potrzebni ani w głębokiej Rosyi, ani na jej pograniczach; niepotrzebni i niemożliwi; natomiast wszędzie potrzeba ludzi cywilizowanych, europejskich w ca-

Pejzaże z „Sonetów krymskich" Mickiewicza.



Bakczysaraj pałac chanów.) (Sonety VI. i VII.)

łem tego słowa znaczeniu. A przytem Polacy w Królestwie przez cały czas wojny zachowywali się zupełnie spokojnie.

Gdy Gorczaków przybył do kraju, powierzonego jego rządom, nie znalazł w nim żadnych zmian, rzucających się w oczy. Jemu się zdawało, że on wcale nie wyjeżdżał, lecz wciąż przebywał na zamku królewskim, pisząc referaty dla feldmarszałka. Opowiadają, że raz tak się zatopił we własnych wspomnieniach, że zapominając o śmierci Paskiewicza, gdy mu podano do podpisu ekspedycyę, powiedział: „Dobrze... lecz pokażcie pierwej feldmarszałkowi".

(C. d. n.)

Ze wspomnień Goethego.

Niemcy mają prawdziwy pietyzm dla swoich wielkich ludzi, zwłaszcza dla Goethego i Schillera. Zbierają skrzętnie każde ich słowo, każdy skrawek papieru, ich ręką zapisany. Dr. Wilhelm Bade wydał świeżo w Berlinie opowiadanie z życia Goethego, przepisane wiernie z ust mistrza przez p. Lude. Oto jeden, zabawny epizod.

„Bawiąc w Karlsbadzie w r. 1812, mówił Goethe, spotykałem często 80-letniego staruszka, który mi się zawsze przyglądał. Powiedziano mi, że to zasłużony generał austryacki. Raz na spacerze podszedł do mnie i wręcz zagadnął:

— Wszak pan nazywa się Goethe?

— Tak się zowię.

— Przyjechał pan z Wejmaru?

— Istotnie.

— Czy to prawda, że pan dużo książek napisał?

— Prawda.

— I wiersze także?

— I wiersze.

— Muszą być ładne?

— Hm...

— Czy trudno pisać wiersze?

— To zależy...

— Od humoru zapewne, a także od dobrego jedzenia i picia... Nie radzę panu siedzieć w tym zapadłym Wejmarze. Przyjedź pan do nas, do Wiednia. Tam dobrze jedzą i piją... a umieją też szanować ludzi, którzy piszą wiersze.

— Hm...

— Gdy pan przyjedziesz, to mnie odwiedź.. i zamelduj się: „Goethe z Wejmaru, znajomość z Karlsbadu", bo mógłbym zapomnieć. Mam tyle rzeczy na głowie.

— Nie omieszkam.

— Czy pan już jest sławnym?

— Trochę.

— Żałuję, że nie słyszałem pierwej o panu, bo byłbym pańskie wiersze przeczytał. Czy wyszło już wydanie zupełne?

— Wyszło już kilka.

— Może wyjdzie jeszcze jedno poprawne?

— Mam nadzieję.

— No, to pańskich dzieł nie kupię. Ja kupuję zawsze ostatnie wydanie, żeby potem nie być zmuszonym nabywać książki po raz drugi i złościć się, że są w niej omyłki. Dlatego wolę poczekać, aż pan umrze. Wtedy pańskie dzieła kupię. Dowidzenia".

Goethe miał wówczas lat 61, a że żył do 83-go więc generał nie nabył zapewne najnowszej edycyi jego utworów.

MELANCHOLIA.

I.

Zorza gasnąca.

— Cudowne — nieprawdaż?

— Istotnie, zawsze podziwiam grę barw i rozmaitość naszych zórz wieczornych. Gdy jeszcze byłem dzieckiem, często stawałem długo, zapatrzony w te pożary obłoków...

— Aż do ostatnich chwil?

— Tak, aż do zemdlenia ostatnich tchnień światła.

— A potem?

— Potem biegłem do matki, dziwnie wzruszony, z roztkliwionem sercem i łzami w oczach. Dobra matka uspokajała mnie pieszczotą, niekiedy muzyką. Ale sprawiałem jej tem przykrość, miewała jakieś złe przeczucia i niepokoiła się o moje zdrowie. Na szczęście przeczucia się nie sprawdziły — żyję. Teraz prawie nie lubię zórz wieczornych, chociaż mają dla mnie urok.

— Ty, co takim jesteś czcicielem przyrody? Ja znów patrzyłabym tak bez końca, przytulona do ciebie. Jak dobrze opartej na twem ramieniu napawać się tą symfonią barw — chłonąć ją w siebie... I możesz nie kochać tych przepięknych zjawisk?

— Kocham tylko poranek i słońce. Poranek jest uśmiechem nadziei; słońce dawcą i wyobrażeniem pełni życia; zorza — tylko złudzeniem. Gaśnie jak widmo senne, poi duszę melancholią i mówi o śmierci. Patrzaj: ten wiszący w powietrznej przeźroczy pałac świetlany, płonący od spodu jasnym, oślepiającym blaskiem, już nigdy nie wróci się oczom naszym, i te barwy, znikome choć cudne, nie wrócą. Błękit na nieboskłonie przechodzi w seledyn, ostatnie uśmiechy słońca, którego już nie widać, ubierają ten fantastyczny obłok w odblaski srebrno-różowe, opalowe i szafirowo-złote. Za chwilę zorza przywdzieje płaszcz purpurowy i mdlejąca, szybko za sobą ciągnąć będzie ciemno-czerwone wstęgi... Nie patrz już, droga moja. Odejdźmy do innego okna. Ręka ci drży, jesteś zdenerwowana, widzę w oczach twoich żal i tęsknotę. Jeśli mnie kochasz — odejdźmy. O tak — dziękuję ci.

— Czy kocham?... I po cóż to zaklęcie?

— A ty, smutny moja królowo, czemuż powiedziałaś to tak rzewnie? Lecz gdyby nie ten smutek, co jest dostojeństwem duszy, kto wie, czy byłabyś mi królową i czy kochałbym cię tak, jak kocham. Daj obie ręce, oprzyj główkę — niechaj czuję pieszczotę twych splotów wonnych. Czemże kwiaty wobec upojeń, jakie mi daje woń twych włosów!... Ten zmierzch niebieskawy, rozpostarty nad ogromną płaszczyzną śniegową, czyż nie spływa cichą falą ukojenia do duszy?

— Tak, ma swoją wymowę, ale inną, niż zorze — te zorze gasnące...

— I on gaśnie, ale spokojnie, pogodnie. Za chwilę księżyc wypije tony fioletowe i przez noc całą będzie patrzył z wysoka na roziskrzone, białe płaszczyzny..

— Czy dużo dziś pracowałeś?

— Dużo — i rad z siebie jestem. Dobrze, że odeszłaś od tamtego okna. Poco chłonąć melancholię z gasnących zórz, gdy zorze życia naszego płoną jeszcze żywymi blaski, gdyśmy u zenitu naszego szczęścia...

— Jednak to straszne, że szczęście ma swój zenit i swój zmierzch...

— To prawo natury — prawo dnia i nocy. Słońce jest u zenitu każdego dnia...

— Tak... i każdego wieczora zapada za tę ciemną ścianę lasów, i niewidzialne, rzuca jeszcze za siebie tęskne i łzawe uśmiechy. To cudowne — lecz dla mnie zawsze tak dziwnie smutne — — Już bardzo ciemno w pokojach... patrz...

Pejzaże z „Sonetów krymskich" Mickiewicza.



Ruiny zamku w Bałakławie. (Sonet XVII.)

— Czy kazać lampę podać?

— O nie! Patrz! Twoje biurko samotne i fotel przed niem odsunięty czernieją w zmroku, jakby już dawno, dawno ciebie tam nie było... A z mego pokoju jakaż pustka patrzy przerażonemi oczyma!

— Nie egzaltuj się, kochana, uspokój. Co dnia to samo się powtarza...

— Istotnie, co dnia widzę to samo, lecz czemuż dzisiaj tak mi smutno, tak łzy dławią w gardle?... Tam, na zachodzie, pewnie już ciemno — zorze zgasły... Pójdźmy.

Na zachodzie, obłoki przedtem płonące złotem i purpurą, wisiały czarne, jak całuny żałobne, na tle sinego, zimnego nieba. Przygniatały ponurą potęgą i głosiły śmierć ubiegłego dnia, co nie powróci już nigdy.

Zakryła oczy gwałtownie, cała we łzach, drżąca, strwożona.

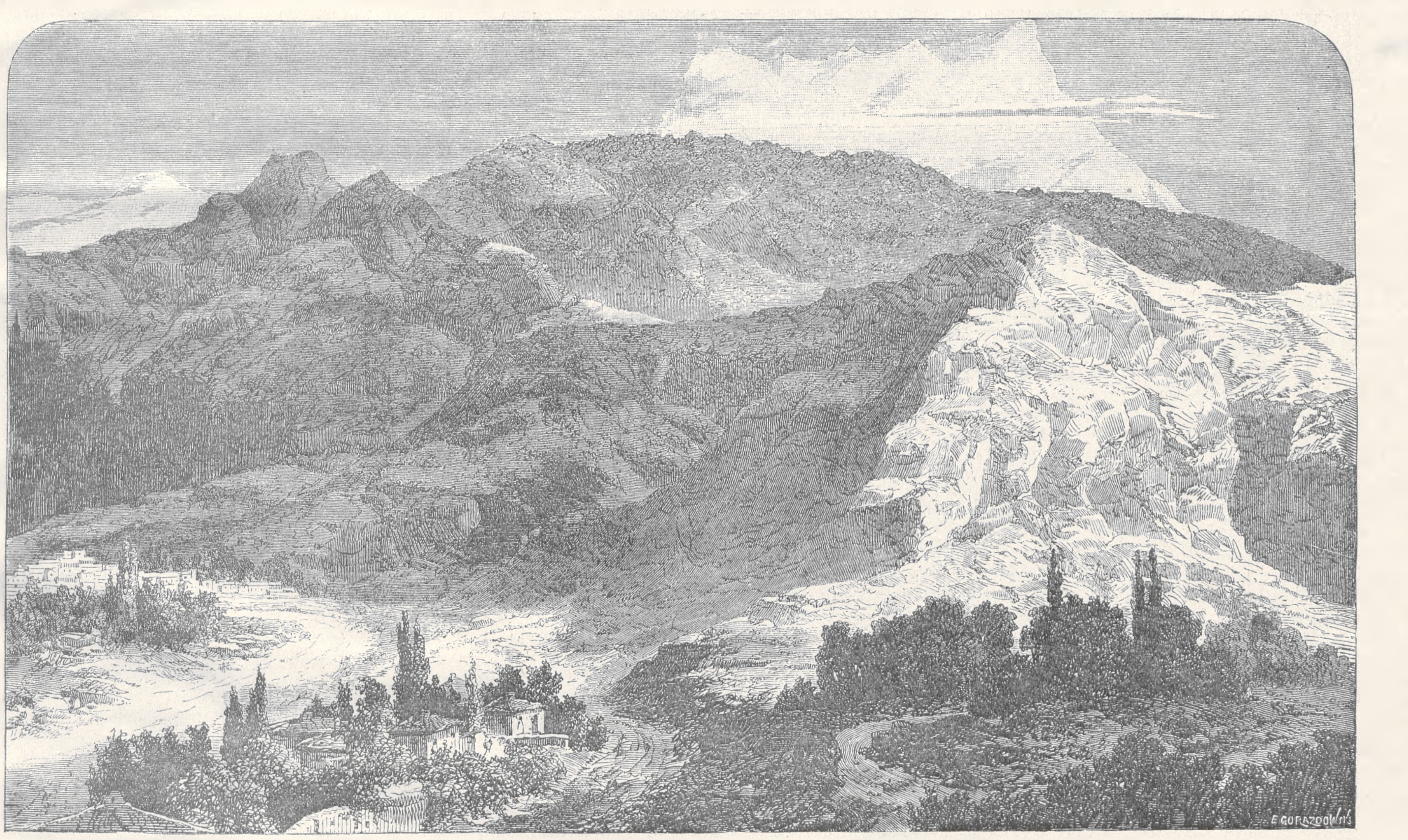
— Boże! jakie to straszne, jakie straszne!

Tulił ją, całował, uspokajał.

Ale spojrzawszy na tę żałobę, zawieszoną nad ziemią, zadrżał, i z rozpaczliwą tkliwością przycisnął ją do piersi, jakby przed rozstaniem...

. . . .

Pejzaże z „Sonetów krymskich" Mickiewicza.



Czatyrdah od strony doliny Salhiry. (Sonet XIII.)

II.

Noc.

...Gdy się obudził, długą chwilę leżał bez ruchu, wreszcie ułożył się wysoko na poduszkach i patrzył w okno, za którem ukazywał się widok jasnej, księżycowej nocy letniej, piękny jak marzenie o szczęściu.

Wzdłuż białego gościńca, gubiącego się opodal wśród niskich chat, stał w drżącem, seledynowem świetle szereg młodych drzew, cichych i nieruchomych. Za niemi, w poświacie miesięcznej, drzemały zielone i żółte pola — a hen, na skrajach widokręgu, majaczyły sine, fantastyczne kształty gór, niby widma dalekie. Nad wszystkiem płynęły tajemnicze tchnienia ciszy, jakby na wysokościach, szlakami dróg mlecznych, przelatywał anioł pokoju.

Patrząc na ten majestat nocy i wsłuchując się w tę ciszę, wielką i głęboką jak niema modlitwa, szczerze rad był, że spędza lato na wsi, mimo, iż spowodowała go do tego choroba nieuleczalna.

Ale im dłużej zapatrywał się w tę przyrodę, jakby w zachwyceniu przyjmującą błogosławieństwo światła, tem wyraźniej uczuwał, że dzieje się w nim coś niezwykłego. Jakieś dawne uczucia, jakieś uniesienia serca zaczęły budzić się w jego głębi — i ogarnęło go dziwne wzruszenie...

Niegdyś, przed laty, takie same horyzonty gwiaździste roztaczały się przed nim, tak samo stały ciche i milczące chaty wiejskie, pławiąc się w świetle miesiąca, gdy on jako młode chłopię, trzymając się ręki ukochanego ojca, chodził z nim wieczorami po ogrodzie i z oczyma utkwionemi w niebo, słuchał jego opowiadań o tych miryadach oddalonych światów...

A dzisiaj?... Nie, tamto młode chłopię to chyba nie on... Jego dusza od dawna śmiertelnie zatruta. Żadna radość, ani żaden smutek już nie poruszą jego istoty, nie przyspieszą bicia serca: wszystko mu mniej więcej obojętne; na wszystko, cokolwiekby go jeszcze spotkało, wzruszyłby ramionami. Bo odkąd ona odeszła, był jakoby gałęzią oderwaną od rosnącego drzewa i zamierał powoli duchem i ciałem.

Przebywając tutaj od kilku miesięcy, z dziwnem uczuciem dowiadywał się z pism codziennych o coraz to nowych zgonach ludzi, których w mieście zostawił. Byli to znajomi, całkiem obcy, lub znani tylko z nazwiska. Zdawało mu się, że gdy tam powróci, zobaczy jakąś straszną, przerażającą pustkę, że miasto będzie wyludnione, a on bardziej samotny... Gdy ci wszyscy żyli jeszcze, dawniej, dawniej, przed laty, żyła przy nim i ona, ten ukochany, smutny kwiat...

I na moment z wielką wyrazistością ujrzał ją w chwili śmierci... Była jak lilia złamana. Złote włosy otoczyły białą, uśpioną twarz, z której nie zdołała jeszcze ulecieć tęsknota i rozdzierający żal rozstania...

I ujrzał ją w trumnie — potem w grobie... Okropne wizye cmentarne rzuciły mu się na oczy i pastwiły się nad nim długo...

. . . .

III.

Brzask.

...Za oknem, z szaro-srebrzystej topieli wyłaniały się te same zagrody, drzewa i pola. Księżyc unosił się blady, zgaszony i lekki jak cień, jutrzenka tylko tkwiła jeszcze w przestworach żywa i błyszcząca. Na wschodzie, z poza skalistych olbrzymów wystrzeliły zorze różowe i mknęły w górę po niebie, jakby skrzydła zaświatowych istot, co zwyciężywszy noc, w radosnym tryumfie wzlatują nad ziemią. Na pobliskiem drzewie ozwał się nieśmiały, przeciągły szczebiot, z oddali zawtórował mu drugi i trzeci... Brzask poranny budził ptactwo i niósł z sobą nieokreśloną radość i pogodę...

Z sercem bijącem i dreszczem silnego wzruszenia obejmował oczyma rozlewające się po niebie zorze różowe, bo oto zdało mu się, że odsłania się przed nim wielka, niezgłębiona tajemnica. I nagle przedarło się do jego świadomości jakieś nieznane poczucie, niby pierwsze westchnienie duszy, co omdlała nad otchłanią nicości...

...My jednak nie możemy być dziełem ślepej, choć przepotężnej siły twórczej... Tylko świadoma siebie potęga mogła nas powołać do bytu. Musi być nad nami jakaś moc, nieskończenie wielka, ale i nieskończenie dobra, która patrzy na nas i błogosławi z wysokości... To coś więcej, niż nastrój chwili: to prawda, którą czuję, jak bicie własnego serca...

Z oczu jego, zapatrzonych w zaróżowione niebo, płynęły słodkie łzy mistycznej ekstazy.

Edmund Zechenter.

Ludokrajcy.

Powtarzające się nieraz, ba! prawie co dni kilka wypadki zaginienia dzieci, budzą poważne podejrzenie, że to po prostu ohydna kradzież małych ludzi. Podejrzenie uzasadnione, gdy fakty stwierdzają zniknięcia dziatwy bez śladu. Sam znam matki i ojców, którzy przedsiębrali najskrupulatniejsze poszukiwania, ale nadaremnie. Lata przechodzą a dzieciny przepadły jak przysłowiowy kamień w studni.

Powiadają, że w niejednej zagranicznej budzie hecarsko-cyrkowej możnaby odszukać dziecko polskie, a co do dziewczynek?... Wszak znany jest międzynarodowy handel żywym towarem, wyłącznie przez synów Izraela prowadzony. Lecz nie o społeczną kwestyę nam chodzi. Pragniemy opowiedzieć, że kradzież dzieci w naszym kraju praktykowała się od kilkuset lat. I nietylko dzieci, lecz nawet ludzi dorosłych.

Klonowicz w „Worku judaszowym", satyrycznym poemacie, który, gdyby był teraz pisany, otrzymałby nazwę... antysemickiego, powiada: „Ludokrajce w Węgrzech „marłahuzami" zwani, ciągną niby słomki do Polski".

Ohydni ci rabusie, przeważnie cyganie koczujący, robili u nas formalnie uorganizowane wyprawy a raczej łowy na małe dzieci. Jeden z pisarzów z XVI-go wieku przytacza fakt uprowadzenia z czterech wsi województwa sandomierskiego: Ostrołęki, Kamienia, Zajeziarza i Młyńsk aż 11-tu chłopców i 10 dziewcząt w ciągu jednej doby. Ludokrajce „towar" swój zbywali tatarom i turkom, zwłaszcza w czasie pokoju, gdy o jassyr było trudno.

Kiedy marłahuzi porywali dzieci włościan i mieszczan — nie czynił się taki hałas, jak gdy to spotkało rodzinę szlachecką, zwłaszcza jakiego karmazyna. Głośnym się stał fakt ukradzenia sióstr bliźniąt sześcioletnich Katarzyny i Michaliny Sciborowskich, córek Michała Sciborowskiego podstolego podlaskiego. Ludokrajcy wynieśli dziewczątka w nocy z sypialni, nikogo nie przebudziwszy. Nazajutrz rano we dworze Gończy (tak się zwały dobra podstolego) był istny sądny dzień. Gdy jedni rozbiegli się na wsze strony w pogoń za marłahuzami — po pewnych śladach poznano, że to ich była sprawka — drudzy ratowali strapionych rodziców, którzy od zmysłów odchodzili, zwłaszcza że więcej dzieci nie mieli. Nic się przecie nie wykryło. Sciborowska wpadła w obłęd, a on, pół fortuny straciwszy na poszukiwania córeczek — osobiście przez lat kilka objeżdżając Krym i państwo tureckie, śledząc za zawodnym tropem, w klasztorze OO. Dominikanów w Lublinie gorzkiego żywota dokonał.

Dopiero w dziesięć lat później Mikosz Fejdziak, cygan węgierski, schwytany na uczynku ludokrajstwa, wyznał, że on to z dwoma innymi, wykradał młode Sciborowskie, lecz kto

był zacz tatar, który dziewczątka kupił, nie mógł wiedzieć.

Fejdziak po wielu torturach był rozszarpany końmi. A egzekucya ta odbywała się w roku 1702, więc już za Augusta II-go, w Łukowie.

Ależ nietylko cyganie byli ludokrajcami. Wszak w XVIII wieku królowie pruscy, mimo że przechwalali się wyższą oświatą i kulturą swych krajów, uprawiali ludokrajstwo i marłahuzami chętnie się posługiwali.

Wydarzyło się np. w czasie bezkrólewia po Auguście II-im także, że wójt z miasteczka Nowogrodu w ziemi łomżyńskiej, uwięzionych pod jakimś urojonym pretekstem dwóch tęgich mazurów, sprzedał ich związanych za 100 talarów pruskiemu marłahuzowi, który „towar“ dostarczył do koszar berlińskich. Gdy sprawa wyszła na jaw, sąd kapturowy łomżyński, w czasie bezkrólewia przestępstwa kryminalne sądzący, skazał wójta-ludokrajcę na powieszenie.

Należy odróżnić od „ludokrajstwa“ tak zw. werbownictwo, w którem dopuszczano się różnych podstępów, lecz przynajmniej pozory wolnej tranzakcyi były zachowane.

Węgiersko-cygańscy marłahuzi pojawiali się i w naszym wieku. Komuż nie są wiadome, przynajmniej ze słyszenia, fakty porywania dzieci przez koczujących cyganów, a zwłaszcza stare cyganki. Nie sprzedawano już wprawdzie skradzionych dzieci ani tatarom, ani turkom, lecz je wychowywano w szatrach a nieraz ohydni „ludokrajcy“ przywiązywali się do swych wychowańców niby do własnych dziatek. To cygańskie „ludokrajstwo“ dostarczyło tematu do wielu sensacyjnych romansów, poezyj a nawet dramatów scenicznych.

Lecz najgłośniejszy był fakt rzeczywisty w 1838 r., gdy w 17-letnim cyganie podczas pochodu bandy przez Zambrów w gubernii łomżyńskiej, poznano skradzionego przed 14-u laty synka państwa Wojciecha i Maryi Pękosławskich, posiadaczy znacznej fortuny. Chłopiec miał szczególne znamię na prawej łopatce i to głównie stwierdziło, obok innych dowodów, tożsamość osoby. Proces kryminalny, w tej sprawie toczony, wywołał wyrok skazujący dwie cyganki do ciężkich robót, a ośmiu cyganów na osiedlenie w Syberyi. Bohater chwili Tadeusz Pękosławski, zginął w 10 lat później w pojedynku z rąk współplemieńca swoich marłahuzów, bo węgra, podczas znanej kampanii 1848 r.

Bądźcobądź, ludokrajcy vel marłahuzi, lubo w odmiennych warunkach, nie przestają istnieć, prawo zaś ten haniebny proceder surowo karze.

PTAK PRZELOTNY.

Obrazek ludowy.

NAPISAŁ

Konstanty Krumłowski.

(Ciąg dalszy.)

Ruch ten nie uszedł baczności księdza. Przystanął, ręce w tył założył i, patrząc surowo w twarz Prusaka, przemówił:

— Taak?!.. A co pisze Paweł św. w liście pierwszym, drugim rozdziale?

— „Cielesny człowiek nie pojmie tych rzeczy, które są Ducha Bożego, aleć duchowny rozsądza wszystko, lecz sam od nikogo nie bywa rozsądzany!“

— Rozumiesz co to znaczy?

— Chłop pokręcił głową na znak, że nie rozumie.

— To znaczy — tłómaczył ksiądz, potrząsając go lekko za ramię — to znaczy, że masz swą córkę przysłać na wikarówkę i ja jej przemówię do sumienia i będę wołał do niej jako prorok Habakuk do żydów: „Przecz — że dopuszczasz, abym patrzył na nieprawość i widział bezprawie i zgubę?!“... Rozumiesz?... Pójdź Nestor! — gwizdnął na psa, skinął chłopu głową i nieoglądając się więcej na chłopa, zawrócił z powrotem na wikarówkę.

VI.

Co dwa tygodnie odbywał się w pobliskiem miasteczku targ. Co dwa tygodnie brudne, śpiące gniazdo zmieniało swą fizyonomię.

Obszerny plac przed karczmą, nazwany z wielkomiejska „rynkiem“, gromadził wtedy na swem błotnistem łonie wszystko i wszystkich, czem okolica pochlubić się mogła.

Od wczesnego świtu bitym gościńcem i wijącemi się wśród pól ścieżynami spływała ludność okoliczna jak woda do wspólnego zbiorowiska, w którem dzień cały kotłowało i wrzało gwarem chłopstwa, szwargotem żydów, nawoływaniem przekupniów, mięszaniną głosów ludzi i zwierząt.

Dla każdego było tu miejsce i sposobność zarobku lub straty. Naturalną koleją rzeczy zarabiali żydzi — tracili chłopi.

Operacyami tej małej giełdy kierował oczywiście sam arendarz — czarny Chaskiel z przybocznym sztabem wrzaskliwych, nerwowych żydków.

„Sztab“ urzędował w prywatnem mieszkaniu p. arendarza i napełniał cały alkierz takim szwargotem i wrzawą, jakby rozchodziło się o losy całego Izraela, a już co najmniej takich świeczników jego, jak Hilsner lub Dreyfuss. Żydzi rozbiegali się ustawicznie w rozmaitych kierunkach, ginęli w tłumie — i znowu, obłoceni, z podkasanymi chałatami, wbiegali do mieszkania swego szefa. I znowu szwargot potężniał, padały przekleństwa, przysięgi, zaklęcia, nieznane chyba w innem narzeczu — prócz żargonu.

Żydzi skakali sobie do oczu, wygrażali pięściami, trzęśli nad sobą pejsami, oplując się nawzajem w polemicznym zapale.

Niewtajemniczony mógłby sądzić, że to nieubłagani wrogowie wydali sobie walkę śmiertelną i lada chwila do rozlewu krwi przyjdzie.

Widocznie sytuacya nie była tak groźną, skoro spokojnie przypatrywał jej się z za stołu pan arendarz. Pan Chaskiel siedział w jarmułce i bez surduta — zajęty ciągłem sumowaniem cyfr kreślonych kredą na stole, odbieraniem pieniędzy i wydzielaniem ich swarzącemu się „sztabowi“. Od czasu do czasu, gdy chałas zanadto się wzmagał, podnosił głowę do góry, spozierał bystro po nich i z ust wyrzucał ostre, rozkazujące.

— Sztyll!

Chałas na chwilę przycichał, zamieniając się w głośne mruczenie, dopóki znowu wzburzone namiętności handlarskie nie wybuchły.

Co jakiś czas wychodził p. Chaskiel do przyległej szynkowni pomódz małżonce w rachunkach, lub łagodzić zatargi z gośćmi.

Do karczmy schodzili się rozmaici ludzie, a czarny arendarz znał na wylot wartość moralną każdego, jak i jego zdolność kredytową.

Wiedział, że pozujący trochę na szlachcica ekonom, który imponował czarnemi cholewami i rogatywką, ma skłonność do miodu, nie stojącą w żadnym stosunku do jego wypłacalności. Karbowy Maciej z bliskiego dworu, cieszył się nieograniczonym kredytem, dzięki tranzakcyom dokonywanym z żydem co wieczór w alkierzu, na których najlepiej wychodził arendarz — najgorzej chlebodawca karbowego. Wiedział p. Chaskiel, że szewc z miasteczka już drugi tydzień skóry bez pieniędzy bierze, co oczywiście na wzmocnienie kredytu nie wpływało, i wiedział, że gospodarz Moskal dwie morgi gruntu dokupił i jest, jak na tak zamożnego człowieka, do brudoty skąpym i trzeźwym.

Wśród licznych gości Chaskla nie brakło i przedstawicielek słabszej połowy rodzaju ludzkiego. Nie była to jednak stała klientela... Ot! wstąpiła jedna lub druga „gospodyni“ po drodze do karczmy, zdjęła z ramion toboły, wdziała buty, łyknęła tam co albo i na kukiełce poprzestała, „odsapnęła krzynę“ i zabrawszy koszyki biegła co tchu na rynek z „kogutkami“, jajkami lub masłem, o ile artykuły te już na miejscu nie zostały wyłapane przez panią Chasklową — zawsze ciekawą, co która baba ma w koszyku.

Wyjątek z nich stanowiła tylko — Marcyśka. Fala ludzi unosiła ją nieraz w jarmarki do miasteczka. Tu wśród wrzawy i hałasu plątała się dziewczyna, przysłuchując się wszystkiemu i podziwiając żydowską tandetę, rozłożoną po straganach.

Z czasem nabrała więcej śmiałości i upodobania w tym barwnym tłumie bawiącym jej oko i ucho. Już teraz nie rumieniła się nawet ani oczu nie spuszczała przed śmiałemi spojrzeniami obcych parobków lub żarcikami dworskiej służby. Owszem, spojrzenia takie wytrzymywała śmiało i pochlebiały jej one podobnie jak obijające jej się dość częste o uszy słowa: Ładna dziewczyna!“

Domyślała się pod czyim adresem były one wysyłane.

Pewnego razu wieczorem po jarmarku pociągnęła razem z gromadą gapiów za katarynką do karczmy i stanęła sobie niedaleko drzwi, wsłuchana w rzężące jej tony.

Czarny Chaskiel siedzał za „bufetem“ i kiwał głową w takt muzyki, rozglądając się po gościach. W cieniu oddrzwia spostrzegł smukłą postać dziewczyny i skinął ku niej łaskawie ręką. Marcysia — namyślała się chwilę — potem śmiałym krokiem, usuwając przed sobą ludzi — podeszła do szynkwasu.

— Skąd ty jesteś? — zapytał żyd, wpatrując się w dziewczynę.

— Od Prusaka — odrzekła, poprawiając chustkę na ramionach.

— Od Prusaka? Ja go znam, to bardzo porządny gospodarz... Napij no się *panna* wódki!

Słowo „panna“ połechtało mile po sercu Marcysię. Spojrzała wdzięcznie na żyda i z niejakiem zaambarasowaniem odrzekła:

— Kiej nie mam centów!

— To nic — odparł żyd uprzejmie — takiej ładnej dziewczynie można dać na urodę.

Marcysia pokraśniała cała. Tak wyraźnie nie mówił jej jeszcze nikt, że jest ładną!

Żyd nalał kieliszek, ułamał pół obwarzanka i podsunął to dziewczynie. Marcysia wypiła wódkę a obwarzanek schowała do kieszeni i stała chwilę, namyślając się jak ma podziękować.

— Dobre? — zapytał arendarz.

— Dobre! — powtórzyła jak echo.

— Dać jeszcze?

— Dać!

Po drugim kieliszku uczuła się Marcysia o wiele śmielszą. Podniosła głowę, okręciła się chustką i wyprostowała.

— Aj! waj! — mówił żyd obojętnie, bębniąc palcami w szynkfas — aj! waj! żebym ja miał te piniondzów, co panna mieć możesz — *af mane munes* — to ja bym buł bogate!

— Ja? pieniędzy? skądże ich mam wziąć? — zaśmiała się dziewczyna.

— To innych w tem głowa, niech uni miszlą skąd ich wziąć dla panny.

— Ej! śpasuje pan harendarz, ktoby ta mnie co dał.

— Ja wiem, co niejeden by tu dał, ale i dwa i trzy i cztery naraz by dali... Sumiennie!..

Marcysia rozśmiała się, krzyknęła żydowi „Bóg zapłać!“, zakręciła się na pięcie i wybiegła z karczmy.

Słodkie słowa żyda i wódka przyprawiły ją o miły zawrót głowy...

Na polu szarzało. Spojrzała na słońce — było już nisko.

Rozmarzona, poddając się wpływowi nieznanego jej dotychczas trunku przebyła jak na skrzydłach gościniec.

— Dobre to dobre, ale mocne — mówiła głośno do siebie — „panna“ gadał ci mi psiawiara i obwarzanek dodał... życzliwe żydzisko!..

VII.

Wyprawienie Marcysi na wikarówkę nie było wcale tak trudnem, jak to się zrazu staremu Prusakowi zdawało.

Ojciec od dłuższego już czasu nie odzywał się do niej wcale, jakby obecności jej nawet nie uważał, starsze rodzeństwo unikało jej i odsuwało się jak najdalej. Polecenia, rozkazy i wola ojcowska były jej komunikowane w zwięzłych i oschłych wyrazach przez macochę — a w milczeniu przez dziewczynę przyjmowane.

Z „latawicą“ — jak ją w domu nazywano — nikt nie chciał w bliższą styczność wchodzić.

— Ojciec chcą, żebyś była jutro u księdza na wikaryi — rzekła macocha, stawiając przed nią na stole ziemniaki, gdy zdyszana i zmordowana wróciła dziewczyna pod wieczór do chaty — polecisz?

— Polecę, a cóż mi to wikaryja straszna?

Straszną jej istotnie nie była; owszem, pociągała ją nawet swem odosobnieniem od wsi i pewną tajemniczością, podobnie jak karczma wesołością i gwarem.

Ciekawą była zobaczyć „jak też to tam wygląda?!“

Ks. Wikary siedział za stołem założonym książkami i papierami, w którym zdawał się coś pilnie szukać. W ręku trzymał czerwony ołówek i podkreślał nim od czasu do czasu coś w księgach.

Marcysia stała u drzwi, śledząc z pod oka nieznane jej dotąd ściany i sprzęty.

Ksiądz odłożył wreszcie ołówek, poprawił się w fotelu i popatrzył w stronę drzwi.

— Marcysia Prusakówna, czy tak? — zapytał odkrząknąwszy głośno.

— Tak! — odrzekła dziewczyna nieśmiało.

— Zbiżno się tu — podjął łagodnym tonem ks. wikary, a gdy dziewczyna się zbliżyła zrobił mimowolne spostrzeżenie, że ma bardzo jasne oczy przy bardzo ciemnych włosach.

Spuściwszy tedy wzrok na książkę jakby z niej czytał, mówił wolno, tonem dobitnym, usiłując głosowi swemu nadać pożądaną dźwięczność:

— Złe rzeczy donoszą mi tu o tobie.

Dziewczyna milczała.

— Ludzie powiadają — ciągnął dalej duchowny, modulując przyjemnie swój głos — powiadają, że obrzydł ci pracy chleb powszedni, że nie dzielisz trudów ni znoju ojców twoich, ale, jakoby usidłana przez ducha nieczystego, lubisz przebiegać góry i lasy. Ludzie powiadają...

— A niech ta! — przerwała dziewczyna opornie.

Ksiądz wikary poprawił się jeszcze lepiej w siedzeniu, przewrócił kilka kartek w książce i, rzuciwszy na druk okiem, ciągnął dalej dźwięcznym głosem:

— Prorok Joel tak mówi, biadając nad upadkiem Izraela w I. rozdziale: „Winne grono uschło a figowe drzewo uwiędło i wesele zginęło od synów ludzkich. Przepaszcie się, a płaczcie: narzekaj jako panna przepasana worem — nad młodością swoją!..“ Czy to rozumiesz?...

— Nie! — odrzekła dziewczyna cicho.

Ksiądz się zamyślił i spuścił wzrok ku ziemi, przyczem mimo swej woli zauważył, że dziewczyna ma nogi zgrabne i ładnie zarysowane.

Następnie podniósł prędko głowę i całą uwagę przeniósł z książki w róg sufitu. Tam patrząc, mówił nieco prędzej i już bez tego poprawnego akcentu, co pierwej:

— Święty Paweł pisze do koryntyan w rozdziale czwartym: „Cóż chcecie? Z rózgą-li przyjść mam do was, czyli z miłością i duchem cichości?.. Staliście się jako śmieci tego świata i jako omieciny u wszystkich aż dotąd...“ Czy rozumiesz co w tem zawarte?

— Nie! — odpowiedziała dziewczyna.

Ksiądz odetchnął głęboko, poszedł do okna i patrząc przez szyby zapytał już innym tonem:

— A umiesz ty pacierz?

— Umiem!

— I dziesięcioro?

Dziewczyna milczała.

— Umiesz? — nalegał wikary.

— Zapomniałam — wybąkała.

Ksiądz poszedł do biurka, otworzył szufladę i podał Marcysi małą książeczkę.

— Weź to sobie, to jest katechizm, czytaj go jak czas będziesz miała. Będziesz czytała? przyrzekasz?

Dziewczyna stała przed nim ze spuszczonymi oczami i w milczeniu potrząsnęła głową.

Ksiądz cofnął się o krok ze zgrozą.

— Dla czego? — zawołał.

— Bo nie umiem czytać...

Ksiądz rzucił z westchnieniem książeczkę na biurko.

— Czy chodzisz do kościoła? — pytał ze smutkiem.

— W niedzielę.

— A do spowiedzi świętej?

— Byłam we Wielkanoc.

— Chodźże jak najczęściej, módl się o łaskę i wytrwałość, dodał patrząc na nią z litością i zgrozą.

Dziewczyna podniosła głowę i młody duchowny spotkał się z takiem spojrzeniem, że przed niem sam wzrok spuścił i uczuł, że pąs mu czoło oblewa...

Te oczy obiecywały wszystko raczej niż poprawę lub skruchę.

Ksiądz przeszedł się kilka razy po pokoju, otworzył okno i rzekł patrząc w ogród:

— No! idź już do domu, a pamiętaj! chodź co niedzielę do kościoła!..

Marcysia cicho wysunęła się za drzwi, a ksiądz wikary długo stał jeszcze w oknie chłodząc swe czoło i rozmyślając nad ułomnością natury ludzkiej.

VIII.

Marcysia wiodła wesołe życie. Bawiła się na jarmarkach, tańczyła po karczmach i przez głowę jej teraz nie przeszło uganiać po lasach i polach jak dawniej. Lubiano ją w miasteczku, a gdzietylko ukazała się śniada jej twarz i czarne warkocze, gdzie zaświeciły wilcze jej oczy i białe zęby — wesołość przychodziła jak na zawołanie, a w ślad za nią zjawiała się i muzyka i kieliszki na stole.

Wiedział o tem dobrze sprytny Chaskiel i towarzyskie zalety dziewczyny umiał na swój sposób wyzyskać.

To też nigdzie w niedzielę nie było głośniejszej muzyki i weselszej zabawy jak u „Czarnego“ w rynku, gdzie Marcysia prawie już za domową była uważana. Chaskiel mówił do niej przez trzecią osobę, Chasklowa wyręczała się nieraz dziewczyną przy szynkwasie, wiedząc, że przez nią więcej utarguje.

Marcysia oswoiła się też niebawem z wyziewami alkoholu i pijaną wesołością gości, i polubiła namiętnie słodką wódkę i obwarzanki.

Gości było poddostatkiem, dziewczynie zaś pochlebiało, że jest na ustach i oczach wszystkich.

Ekonom w przystępie animuszu kłął się nieraz na swój „honor szlachecki“ i poprawiając z fantazyą rogatywkę zapewniał, że gdyby Marcysia nie była „taka“, a on znowu nie był szlachcicem, to kto wie, kto wie, czyby nawet i „głupstwa nie palnął“.

Zapytany raz w żarcie o owe „głupstwo“, zrobił zaraz poważną minę i szarpiąc wąs odezwał się sentencyonalnie:

— Mówi się niejedno, ale zawsze człowiek pamięta na krew i pochodzenie!

Nie sam zresztą ekonom należał do jawnych zwolenników Marcysi. Oficyaliści i cała służba dworska, nie wyłączając nawet żonatych — każdy złożyłby chętnie część swych uczuć i „zasług“ u zgrabnych nóżek dziewczyny.

Nie był to jednak jeszcze punkt kulminacyjny powodzenia Marcysi.

Pewnego wieczoru, gdy Chasklowa drzemiąc za szynkwasem tłamsiła na drutach pończochę, a Marcysia słuchała właśnie przy kieliszku gorących wynurzeń pisarza z sądu — zaturkotała bryczka przed karczmą, a równocześnie wpadł z alkierza p. Chaskiel i wypychając swą połowicę gwałtownie w drzwi małżeńskiego mieszkania, krzyknął zaaf:

— Schnell! schnell! Der Dżedżyc ist gekimmen!

Chaskiel wiedział, że dziedzic nie lubi starych i brzydkich żydówek.

— Wues szturkste mich Du miszugener?!.. — broniła się w drzwiach Chasklowa, wciskając obszerną swą peryferyę w drzwi alkowy, przyczem odwzajemniła się czułemu małżonkowi — kułakiem.

Tymczasem przed szynkwasem stał już p. dziedzic i, zdjąwszy z głowy płócienny kaszkiet, obcierał chustką spoconą łysinę.

Pan Chaskiel poskoczył za ladę i schyliwszy głowę czekał rozkazów.

— Cóż to Chaskiel — ha? scena małżeńska — zapytał sapiąc pan dziedzic.

— Takie małe przemówkę proszę Jaśnie Pana Dżedżica — odparł Chaskiel, rozcierając sobie nieznacznie bok pod ladą.

— Nie lubię tej starej żydowicy — bąknął dziedzic z bezwzględnością, cechującą pana wobec żyda i wycierał sobie z kolei czerwony kark chustką.

Żyd uśmiechnął się filuteryjnie.

— Jasznie Pan — ja psiepraszam za szmiałość — Jasznie Pan ma bardzo taki sam gust jak ja.

— A co? ha?... Dajno mi cygar — tylko te moje — sapnął Jaśnie Pan rozglądając się po szynkowni. Nagle spostrzegł Marcysię, która na widok dziedzica wstała z uszanowaniem.

— O! widzisz, ciągnął dalej jowialny pan, uszczypawszy dziewczynę w policzek — to co innego niż pani Chasklowa... Czy to twoja służąca?

Żyd mrugnął poufale do dziedzica.

— To ze wsi, Marcyśka Prusakówna, bardzo wesoła dziewczyna — dodał po chwili.

— Tak? — sapnął znów dziedzic — a skąd ty jesteś — zwrócił się do dziewczyny.

— Z Przylasku — odparła uroczyście zagadnięta patrząc jak w tęczę w świecącą łysinę Jaśnie pana.

— Acha!.. przyjdźże tam kiedy do dworu, może się znajdzie jaka robota dla ciebie.

Marcysia w odpowiedzi poskoczyła do ręki dziedzica. Pan dziedzic dał się pocałować w rękę, pogłaskał ją po głowie, uśmiechnął się, zapłacił żydowi cygara i wygramoliwszy się na bryczkę — odjechał.

Marcysia oszołomiona, zarumieniona stała na środku.

— Aj! waj! jakie Marcysia ma szczęście do panów — pod chajrem, tylko szanować to szczęście! szanować! — zakonkludował z odpowiedniem kiwnięciem brody p. Chaskiel.

IX.

Po owych pamiętnych odwiedzinach dziedzica w karczmie, kiedy to Jaśnie pan tak łaskawie do niej zagadał i sam rzucił jej myśl dworskiej służby, dziewczyna zaczęła zastanawiać się nad doniosłością pańskich słów i na seryo przemyśliwać nad ich urzeczywistnieniem.

Dwór ma w oczach chłopa coś z powagi i uroku kościoła. Podobnie zaciekawia go on i onieśmiela — pociąga i odstrasza, jak wogóle wszystko, co z bliska rzadko widujemy, a o czem często słyszymy lub myślimy.

Dwór w Rogowie posiadał wszystkie warunki na stworzenie tego legendarnego uroku we wsi.

Stał w odosobnieniu, daleko za wsią na wzgórzu, skąd zdaleka był widny okolicy czerwonym dachem, białymi kominami i wysokiemi topolami, okalającemi go. Za budynkiem grupowały się stajnie i zabudowania gospodarskie świecące do słońca pobielonemi ścianami. Dojazd do bramy wysypany był żwirem, brama zaś zawsze zamknięta. Domownicy, służba, jak i sam pan dostawali się zazwyczaj do dworu tylnem wejściem od oficyn i podwórza.

W tym wysokim, zamkniętym i strzeżonym dworze mieszkał człowiek, na którego usługi stała służba, oficyaliści i chłopi, który dla siebie zasiewał kilkadziesiąt morgów, wycinał las, wydzierżawiał łąki, trzymał tuzinami konie i krowy. Człowiek, na którego rozkaz żyd dostarczał pieniędzy a chłop swych bydląt i rąk do pracy, który za pan brat żył z księdzem i przyjmował u siebie pierwszych tylko dygnitarzy z miasteczka, człowiek, przed którym, gdy się we wsi pokazał — wszystko kłaniało się i usuwało, a on nikomu.

Nie znaczyło to bynajmniej, by dziedzic był człowiekiem strasznym lub nieprzystępnym „dla ludzi“...

„Ludźmi“, nazywają chłopi siebie w stosunku do dziedzica, żyda i księdza.

Owszem, ilekroć się z nimi stykał był zawsze poufałym a nawet i rubasznym w pewnych granicach, ową rubasznością właściwą ludziom nie krępującym się, ani zważającym na swe otoczenie.

Poufałość dziedzica w domu nabierała nawet w pewnych razach i względem pewnych wybranych osobników — cech familiarności, o czem niejeden ciekawy szczegół przedostawał się z dworu nawet i do wsi.

Szczegóły te i szczególiki — nie ujmowały zresztą nic w oczach „ludzi“ dziedzicowi na powadze lub szacunku — przeciwnie, były w ich pojęciu interesującym komentarzem, sympatycznym jakimś rysem dworskich stosuneczków.

We dworze służyło dosyć ludzi pochodzących z tej samej wsi co i Marcysia. Trzymali oni jednak dawnych swoich „krajanów“ w pewnej odległości, niedopuszczającej do poufałych pytań i zwierzeń. Marcysia odczuwała instynktownie ten przedział i mniejszość swą wobec wygolonych Antków i Bartków i obutych Kasiek, tem chciwiej baczyła jednak na poufne rozmowy w ich kółku, miny i giesta. Połapane tu i owdzie słowa i bałamutne wiadomostki rozpalały fantazyę dziewczyny i drażniły jej ambicyę.

Czuła się jednak tak małą — tak daleką od tych ludzi, że przez myśl jej nawet nie przeszło, zbliżyć się do nich.

Dopiero łaskawe słowa dziedzica dały jej pewne ośmielenie i skryte pragnienia skrystalizowały w zdecydowaną już chęć: poznania, a może i dostania się na dwór pański.

Należało tylko odczekać stosownej sposobności i chwili.

Nie długo musiała na nią czekać.

Pomogła jej w tem znakomicie świeżo nawiązana w karczmie znajomość z „panem Kajetanem“.

„Pan“ Kajetan nosił rude faworyty, olbrzymią srebrną dewizkę na żółtej kamizelce i surdut z galonami, a z Jaśnie panem, jak zapewniał — rozmawiał co dzień, nieprzymierzający jak teraz z „panną“ Marcyanną.

Pan Kajetan lubiał swoje poglądy i stanowisko społeczne w ten sposób określać, że jest człowiekiem „światowym i postępowym“. Światowość ta i postęp manifestowały się w łaskawem tolerowaniu i uznawaniu i innych ludzi, stojących daleko po za obrębem dworu i niemogących wykazać się ani kawałkiem galona, ani nawet odrobiną faworytów. Tolerancya p. Kajetana miała na razie swój wyraz w miłej gotowości wypicia z każdym „zwyczajnym“ wódki i w łaskawych względach dla dziewcząt niższej nawet „kondycyi“, jak mąż ów zwykł był określać istoty te, wykluczone losem od godności dzierżenia dworskich szczotek i ścierek.

Na zasadzie wolnomyślnych tych przekonań zrobił też znajomość z Marcysią.

Oprócz tych zalet charakteru odznaczał się pan Kajetan doskonałą znajomością wszystkich słabych i silnych stron dworu i swego pana.

Dziedzic — stary kawaler, dobiegający już pięćdziesiątki, miał jeszcze zawsze „oko“ dla ładnych dziewcząt.

Wiedział o tej słabostce zaufany pan Kajetan i starał się też najbliższe otoczenie Jaśnie pana dobierać po myśli swego chlebodawcy.

Nie mniejszym atoli wpływem u dziedzica cieszyła się klucznica, pani Aniela, kobieta mniej więcej w wieku swego pana, dbająca zarówno o cielesne jak i duchowe jego dobro — z ową natarczywą i bezwzględną troskliwością — pozwalającą domyślać się głębszych jej przyczyn i źródeł.

Kajetan — jak się zdawało — wyznawał jedno i czcił bezwzględnie: wolę i kaprys pański — pani Aniela: „dobro“ dziedzica. To też pod ideę tego „dobra“, urobioną we własnem pojęciu, umiała nieraz podporządkować chwilowe kaprysy pana i jego sługi. W imię tego dobra gotowa była z każdym — nie wyłączając nawet samego pana — wojnę prowadzić, bez względu na to, czy postulaty pańskiego dobra przejawiały się we względach na kieszeń, zdrowie, lub nawet powagę i moralność!! To też z tych trzech zasadniczych punktów założenia wychodziła zawsze, oceniając każdą inowacyę, zaprowadzoną w gospodarstwie, każdą zmianę inwentarza, każdorazowe oddalenie lub przyjęcie kogoś ze służby.

Kajetan — aczkolwiek śmiał się z „zacofanej baby“, nie lekceważył jednak bynajmniej jej wpływów i potęgi, owszem, przeciwstawiał jej ustawiczną czujność i starał się o systematyczne ograniczanie i usuwanie jej wpływu — przynajmniej bezpośrednio na samego pana.

Te dwie sfery wpływów ścierały się ustawicznie ze sobą na dworze rogowskim. Około tych dwóch możnych centrów krążyły jak gwiazdy — wirowały i wylatywały w przestrzeń egzystencye drobniejszej służby — podzielonej na dwa wielkie obozy.

Adherentów Kajetana stanowili: stangret, chłopiec kredensowy, karbowy i pokojówka — około pani Anieli grupowały się z małymi wyjątkami wszystkie dziewki dworskie, kucharz i dwóch kuchcików.

Pierwsi czuli się pod opiekuńczemi połami fraka p. Kajetana na równi silnymi, jak przeciwna grupa, szukająca protekcyi za szerokiemi fałdami spodnicy pani Anieli. Obie strony znosiły się na pozór bardzo dobrze i zgodnie ze sobą obcowały. Trwało jednak między niemi ustawiczne naprężenie i gotowość — coś, jeżeli nam tego klasycznego wyrażenia użyć wolno — coś w rodzaju „zbrojnego pokoju“.

Pan Kajetan, zapoznawszy się z Marcysią i wybadawszy — z czem się wcale dziewczyna nie kryła — jej entuzyazm do dworskiej służby — uznał, że znalazł nareszcie w dziewczynie upatrywane zdawna narzędzie do ustalenia swych wpływów na osobę dziedzica.

Dziewczyna ładna i młoda jest wielkim atutem w ręku sprytnego lokaja na dworze kawalera w pewnym określonym już wieku, mającego jednak młodzieńcze jeszcze nawyczki.

Tak myślał p. Kajetan, siedząc z dziewczyną w osobnej alkowie u żyda i wpatrując się z przyjemnością w jej błyszczące oczy i czerstwe rumieńce.

Ale myliłby się ktoś, sądząc, że pan Kajetan stracił choć na chwilę urzędową swoją powagę, lub, że jakiekolwiek spojrzenia mogłyby go z równowagi wyprowadzić wtedy, gdy sam nie uznał, że jest czas i sposobność po temu.

Przeciwnie! pan Kajetan miał na tyle panowania nad sobą, że pomimo wszystkich pokus z całą powagą, należną swemu stanowisku i ważności chwili, głaskał długą dłonią rude faworyty i uroczystym głosem wtajemniczał Marcysię w dworskie zwyczaje i praktyki, starając się wyrażać poprawnie i płynnie.

— Panna *uważuj* na mnie i trzymaj się tego, co ja *przeważnie* mówię.,

Marcysia podparła głowę na ręce i wlepiła oczy w mówiącego.

— Co się tyczy *z* Jaśnie panem — ciągnął dalej poważnie p. Kajetan, — to trzeba mu się i *przypodchlebić* i *ośmiać* się *naturalnie* jak się Jaśnie pan śmieje i ze wszystkiem słuchać, a nic nie gadać, ani się *przeciwić naturalnie.*

— A czy pan jest dobry? — zapytała Marysia nieśmiało.

— Mówi się *ewentualnie* Jaśnie pan — przerwał z karcącem spojrzeniem p. Kajetan — Jaśnie pan jest dobry, jak kiedy do humoru. Krzywdy on tam nikomu nie zrobi — *słowo daję* — chyba jak go ta czarownica Aniela podbuntuje, co jest u nas klucznicą.

A klucznica dobra? — pytała dziewczyna dalej.

Przeważnie szelma — odparł dobitnie zapytany. Od niej trzymaj się panna zdaleka, bo ona nie lubi, jak jaka ładna dziewczyna *grasuje* po pokojach.

— Nie lubi? podchwyciła ze zdziwieniem Marcysia.

— Wspomina *se* na dawne lata — objaśniał pan Kajetan, nie odpowiadając bezpośrednio na pytanie — i myśli, że dziś, to to samo, co przed pół wiekiem, a jest już — słowo daję — *przeważnie* stara. Ho! ho! ho! niejedną nam ona już dziewczynę ze dwora wygryzła — na złość mnie i Jaśnie panu.

Marcysia się zasępiła.

— O! to *musi* ciężka sprawa *sługiwać* po dworach! — westchnęła.

Pan Kajetan przysunął się bliżej i zniżonym głosem tajemniczo jął mówić:

— Że nie lekka, to słowo daję... Ale się panna nie bój nic. Już my to obaj z Jaśnie panem przerobimy, bo my się jej *naturalnie* nie boimy. Ja już Jaśnie panu wspominałem, że panna Marcyanna jest moja daleka siostra — i Jaśnie pan już wie *względem tego.*

Marcysi wzrok się rozjaśnił.

— Tylko panna musisz być grzeczna z Jaśnie panem i, czego broń Boże, nie sprzeciwiać się w niczem...

— Ktoby się tam takiemu panu sprzeciwiał? — westchnęła pobożnie dziewczyna.

Pan Kajetan zamyślił się i, kiwając się na stołku, zaczął wolno mówić:

— Panna się musisz tak sprawować, żebyśmy byli *kontentni!* A co się panna dowie, albo posłyszy, jak Jaśnie pan będzie mówił — to w *te razy* masz panna mnie powiedzieć...

Marcysia ze zrozumieniem kiwała głową potakująco, a pan Kajetan ciągnął dalej:

— Jaśnie pan jest czasem wesoły i nie jest skąpy *naturalnie.* Tamta pokojówka, co to bestya przy końcu się nam rozchorowała, ładny grosz wyniosła ze dworu... Słowo daję!... Ja będę chciał pannę do pokojów wsadzić *naturalnie.*

— O *rety!*... a cóż ja tam będę robiła? — zawołała dziewczyna z nieudałym przestrachem.

— Będziesz *se* panna *poszadzki* froterować.

— Kiej nie uważam, jak to pan Kajetan powiedział — odparła nieśmiało.

Pan Kajetan uśmiechnął się pobłażliwie, wyciągnął cygaro z kamizelki, ugryzł koniuszek i, zapaliwszy je, objaśniał z wyższością:

— Poszadzki, to znaczy *rzeczywiście* podłoga, ino nie taka, ale co jest zapuszczana *naturalnie* woskiem i *benżyną* i trzeba ją szczotkami a nogami tak rajbować, coby była śliska, jak lód, a świeciła się, jak śklanka. Panna będziesz se po niej tak nogami przebierać.

Marcysi skomplikowana ta manipulacya o ile niezrozumiałą — o tyle i niezwykłą się wydała.

— I cóż więcej?

— Więcej to już ja robię, a co będzie trzeba, to się panna pomaluśku nauczy...

Spojrzał na zegarek i zerwał się ze stołka.

— Słowo daję!... trzy *kwadrance* na siódmą. Już lecę nastawić samowar, bo co się tyczy *z* herbatą — to Jaśnie pan o siódmej pije. No — dodał, żegnając się przez podanie końców palcy z Marcysią, — panna jutro przyjdź do nas *wele* południa — już ja będę pannę *uważować.*

Szastając nogami, wyszedł z szynkowni, krzyknąwszy w przechodzie przyjemnym głosem: „Dobranoc panu Chaskiowi!“

Marcysia pociągnęła także w stronę domu, rozmyślając po drodze o łaskawym dziedzicu i złej klucznicy, i o cudach dworu, gdzie podłoga jest jak lód, a jej nogami po niej przebierać każą.

X.

Dnia tego Marcysia, wstawszy o świcie, przyniosła wiadro wody ze studni, wzięła z za łóżka macochy grzebień, ze skrzyni „przyodziewę“ i, zamknąwszy się w komorze, poświęciła kilka godzin gruntownej reformie swej toalety, w czem niemałą rolę grała — woda i mydło.

Około południa, umyta, wyświeżona i odświętnie odziana, w wysokich, skrzypiących butach, stanęła przed macochą, która przy kominie warzyła strawę na południe.

Stała chwilę, namyślając się, co powiedzieć, wreszcie podeszła do kobiety i pocałowała ją w łokieć.

Nie przyzwyczajona do takich czułości, spojrzała na nią macocha ze zdziwieniem.

— Już idę — szepnęła Marcysia.

— *Kaz?* — zapytała kobieta, nie odrywając się od zajęcia.

— Do dwora, na służbę... Nie gniewajcie się, matusiu! — odrzekła dziewczyna, podnosząc jeszcze raz łokieć macochy do ust.

— Idź z Bogiem — mówiła stara kobieta życzliwym tonem, — a *zaźryj* tu *kiedyniebądź!*

— *Ostańcie* z Bogiem! — powiedziała Marcysia, poprawiła chustkę na ramionach i wyszła.

Za chatą skręciła na lewo i szła gościńcem prosto przed siebie, w kierunku widniejącego w dali czerwonego dachu i topól.

Był to dwór dziedzica — cel jej podróży.

Szła w dziwnie poważnym i uroczystym nastroju, wcale nie podobnym do tego, z jakim wstępowała pierwszy raz do karczmy, lub w jakim znalazła się przed księdzem wikarym.

Było to połączenie uczuć lekkiej obawy z radosną nadzieją — pewności siebie z wątpliwością: jak będzie przyjętą.

Że ogółem — będzie przyjętą — o tem wiedziała...

Rozpamiętując wrażenie, jakie onegdaj na dziedzicu zrobiła i wczorajsze słowa pana Kajetana, nie mogła w najmniejszej wątpliwości zostawać co do powodzenia.

I ona zaczęła od tej chwili odczuwać to, czem jej do niedawna „dworscy" tak imponowali: odczuwała wyższość swą nad zwyczajnym tłumem.

Po drodze spotkała jakąś kobietę, dźwigającą naręcz drzewa z lasu.

— Biedaczko! ty nie idziesz do dworu! — pomyślała o niej z litością.

Stary gospodarz, Moskal, człowiek. znany w całej wsi z bogactwa i pracowitości, wyprzęgał właśnie konie przed chałupą, gdy Marcysia, nie zważając na niego, przechodziła mimo.

— Hej! Marcyna! — zawołał za nią Moskal — kaz ty idziesz?

— Do dwora! — odkrzyknęła donośnie, nie oglądając się. Zdawało jej się, że wszyscy o tem wiedzą, lub wiedzieć powinni, jakby na czole wielkiemi literami miała wypisane: „Idę do dworu — do Jaśnie pana na służbę!"...

Ale, rzecz dziwna: im bardziej zbliżała się do upragnionego celu — tem więcej czuła, że ginie jej fantazya i rezon — tem większa wątpliwość i niepewność owładała nią.

Znalązłszy się przed dworem — dałaby wiele za to, żeby ta droga się jeszcze nie skończyła, lub żeby ją mogła jeszcze raz zrobić, przyszła nawet chwila, że chciała się już wrócić. Tylko siłą woli przemogła się — obeszła dookoła i tylną bramą cicho, nie uważana przez nikogo, wsunęła się na podwórze.

Było właśnie po oddzwonieniu południa i na podwórzu panował ożywiony ruch, jak zwykle o tej porze w dzień powszedni.

Pastuchy spędzały bydło pod studnię, a parobcy kolejno wjeżdżali na cwałujących koniach z pola, zdejmowali z nich uprząż i po napojeniu prowadzili do stajni. Dworskie dziewki biegały, nosząc w wielkich misach dymiącą strawę do czeladniej izby, gdzie powoli przenosił się ruch i gwar ludzki.

Wśród ludzi uwijała się kobieta okazałej tuszy, z czerwoną i spoconą twarzą, w białej, koronkowej chusteczce na głowie, z którą wiatr igrał, czyniąc z niej podobieństwo ptaka, sadowiącego się na gnieździe.

Kobieta biegała, krzyczała, wymachiwała rękami, a wszyscy z uszanowaniem ustępowali jej z drogi i robili miejsce.

Była to pani Aniela — odpowiedzialna i nieograniczona kierowniczka gospodarstwa rogowskiego.

Na Marcysię, opartą o płot, mało kto zważał. Czasem parobek w przechodzie trącił ją kokieteryjnie łokciem w bok, na co dziewczyna, zatoczywszy się, odpowiadała miłym uśmiechem.

Młody jakiś pies — jeden z pierwszych — spostrzegł obecność lekceważonego gościa i zaczął troskliwie obwąchiwać Marcysię na wszystkie strony. Ta zaś była kontenta, że przecież ją ktoś zauważył i głaskała psa, doskakującego do jej spodnicy.

Gospodyni, doglądnąwszy porządku i zapędziwszy czeladź do jedzenia, stanęła na środku podworca, sparła dłonie na wydatnych biodrach i rozejrzała się bystro dokoła.

Dostrzegła Marcysię.

Przyszedłszy tedy do niej, zmierzyła ją pytająco i zawołała:

— A do kogo to?

Na tę interpelacyę dziewczyna nie była przygotowaną.

Przewidziała prawie wszystko, ułożyła sobie nawet, jak spojrzy na Jaśnie pana, w którą go rękę pocałuje, co odpowie w razie, gdyby jej znowu powiedział, że jest ładną. — nad jednem nie pomyślała, że może ją ktoś zapytać: „coś za jedna i czego chcesz?"... Juścić! Jest Marcysia Prusakówna i chce służyć we dworze, ale to tak z miejsca powiedzieć się nie da — a zwłaszcza tej jejmości sapiącej i potrząsającej nad nią białym czepcem.

Marcysia trafnie odgadła w niej gospodynię — i tu chłopski spryt wziął górę nad strachem. Pamiętała na słowa Kajetana, że gospodyni jest zazdrosna i „przeważnie stara i zła". Odwoływać się wobec niej na pana — nie uważała za rzecz wskazaną i na powtórne, dobitniejsze zapytanie pani Anieli, odrzekła:

— Ja... do lokaja!

— To tam trzeba się spytać! a tu nie zawadzać — odburknęła gospodyni opryskliwie, wskazując głową ku oficynom.

Następnie odwróciła się od Marcysi, która, krząknąwszy, zwróciła się w milczeniu we wskazanym kierunku — a za nią pobiegł w podskokach pies...

(C. d. n.)

Napoleon. Ostatnia faza.

Przez lorda Rosebery.

Lord Rosebery nie zaniedbuje żadnego środka zwrócenia na swoją osobę publicznej uwagi. Chociaż od kilku lat przestał, z własnej woli, być przywódcą liberalnego stronnictwa, stawia *de facto* swą kandydaturę na to stanowisko, nie pomijając żadnej sposobności, ażeby zapoznać naród ze swemi opiniami. Słyszeliśmy go na wielu meetingach, wygłaszającego patryotyczne orędzia, wyłuszczającego plan organizacyi imperium wielko-brytańskiego; podczas niedawnej kampanii wyborczej do municypalności londyńskiej przypomniał, że nie przestał zajmować się emancypacyą municypalną stolicy. To przemawia w charakterze rektora uniwersytetu glasgowskiego do jego studentów filipiką polityczną, to w literackiem towarzystwie wykazuje swą wielostronność; to znowu dowiadujemy się z gazet, że on, sportsmen zawołany, zwycięzca po dwakroć w Derby i w Ascot, sprzedaje swe wyścigowe stajnie i ogłasza, iż w przyszłości w wyścigach udziału brać nie będzie, nasycając radością serca sekciarskich pastorów, którzy mu oddawna taką lekkomyślność, niezgodną z pozycyą pierwszego ministra, wyrzucali; jednem słowem, bez przerwy lord Rosebery dorzuca łuczywa do ognia, i prasa obu stronnictw zmuszona jest zajmować się osobistością, która urzędowo do żadnego z nich nie należy. Nie potrzebaby innych dowodów talentu i umiejętności wysuwania się na pierwszy plan, jak te, które złożył w ciągu ostatniego roku. A pomiędzy trąbami, co jego wielkość obwieszczają, pominąłem jego życiorys, skreślony przez gładkie pióro p. T. F. Coates: potrzeba mu było dwóch grubych tomów, aby uczcić, jak należy, rozliczne dodatnie strony charakteru i talentów szlachetnego lorda.

W chwili, gdy znaczna część organów prasy, i to najbardziej poczytnych i wpływowych, co rano i co wieczór usiłuje przekonać lorda Rosebery, iż powinien, iż musi poświęcić się dla dobra społeczności i wielkości imperium, i opuszczając swobodny odpoczynek prywatnego życia, stać się ponownie głową postępowego stronnictwa, w chwili tej lord Rosebery znowu przykuwa do swej osoby interes powszechny, puszczając w obieg historyczny utwór, ciekawy i swą osnową i swem opracowaniem. Z proteuszowską zmiennością staje przed czytającą publicznością jako historyk, i tylko jako historyk. Nie należy się dziwić atoli, że krytyka krajowa, która nader pochlebnie tę nową pracę utalentowanego męża stanu przyjęła, skorzystała ze sposobności, aby zrosić łzą żalu odsunięcie się z areny publicznej człowieka, który co moment daje nowe świadectwa swej umysłowej potęgi.

Nie należy zapominać, że nie pierwszy to już utwór piśmienniczy szlachetnego lorda. Przed kilku laty, po śmierci żony, szukając zapomnienia i ukojenia w literackiej pracy, napisał był monografię, poświęconą osobistości Pitta. Praca ta jednak była daleko więcej politycznem, niż właściwie historycznem studyum. Jako wadę literacką miała nadmiar epigramów. Na każdej stronicy dawał autor dowody swego kostycznego dowcipu i starannie ukutych sarkazmów, ale męczył nimi czytelnika. Trzeba też przyznać — a uwagę tę uczyniło kilku krytyków z okazyi jego obecnego utworu — Pitt nie był osobistością sympatyczną, tak samo, jak nie był wielkim mężem stanu. Rozgłos, jaki imię jego pozyskało, zawdzięcza okoliczności, że uosabiał walkę Anglii z Napoleonem: był on pigmejem wobec olbrzyma i ginie na tle historycznem, co go w cień usuwa.

Widocznem jest, że umysł lorda Rosebery nie przestawał się od owej pory zajmować momentem historycznym, w którym Pitt tak całkowicie zakasowany został przez Napoleona. Powraca obecnie do tej epoki i bierze za przedmiot swej monografii jego samego: *Jupiter ipse.* Ale nie popełnia błędu, chciałoby się powiedzieć — śmieszności, usiłowania, ażeby objąć w ramach paruset stronnic olbrzymią napoleońską epopeję, on, który nie jest ani historykiem z zawodu, ani nie rozporządza dostatecznym czasem do tak rozległego studyum. Ogranicza się i chwali mu się to bezwarunkowo — do jednego rapsodu tylko, do najbardziej dramatycznego, do epilogu. Monografia jego nosi tytuł: „Napoleon. Ostatnia faza".

Byłoby złośliwością nie na miejscu dociekać, dlaczego lord Rosebery napisał tę książkę. Niektórzy podejrzywają go o sympatye nieprzezwyciężone do genialnego despoty i starają się dać do zrozumienia, że w danych okolicznościach pragnąłby na nim się wzorować. Uważam taki zarzut za niedorzeczny. Jeżeli można uczynić te i owe zarzuty lordowi Rosebery, to ten przedewszystkiem, że brakuje mu decyzyi i stanowczości. Psychicznie istnieje pomiędzy nim a jego bohaterem najjaskrawsze przeciwieństwo. Osobistość Napoleona, jak nam autor powiada we wstępie, tak opanowała jego umysłem, iż prześladowała go, jak widmo: ażeby go się pozbyć, uważał za najwłaściwsze wypowiedzieć, co o nim myśli i raz na zawsze z przedmiotem tym skończyć. Nie rości żadnych pretensyj, aby w swem studyum wyczerpać przedmiot, rozwiązać wielki dziejowy problemat i wypowiedzieć o najwyższym geniuszu wszech epok sąd ostateczny. Chce poprostu wypowiedzieć swy rodakom kilka poglądów na Napoleona, nie przypisując swym opiniom innego znaczenia, jak te, które każdy wykształcony umysł posiada. Ten brak pretensyi usposabia przychylnie czytelnika, a koniec końców, z całej pracy wynosi się korzystne wrażenie.

Autor poświęca całą pierwszą część swej pracy szczegółowemu i drobiazgowemu rozbiorowi dzieł, zajmujących się tą fazą życia Napoleona, których autorowie byli ich uczestnikami i świadkami. Bez mała potępia je wszystkie i podaje przyczyny, dla których należy brać je *cum grano salis*. Najważniejszem zródłem, które mu służy do odmalowania życia cesarskiego jeńca na wyspie św. Heleny, są pamiętniki Gouranda.

A życie to przedstawia takiem, jakie było: jednostajnem, smutnem, upokarzającem. Jeżeli uznaje, że zesłanie Napoleona na odludną i niedostępną wyspę było czynem politycznym do usprawiedliwienia i że Anglia była jedynie wykonawcą woli Europy, spragnionej bezpieczeństwa i spokoju, to sposób, w jaki z zadania tego się wywiązała, był ohydnym. Każdy Anglik, jak powiada lord Rosebery, musi czytać opowiadanie o sposobie, w jaki traktowano Napoleona, z rumieńcem wstydu. Nie szczędzi gorzkich słów nagany ani ministrom, którzy wydawali rozkazy, ani podwładnym, którzy je wykonywali. Żaden Francuz w patryotycznem oburzeniu nie mógłby znaleźć właściwszych słów do napiętnowania tych nizkich osobistości, jak to czyni angielski mąż stanu. Pierwszy minister ówczesny, lord Liverpool, pisał, że najlepszem zakończeniem całej tej sprawy byłoby powieszenie lub rozstrzelanie Bonapartego przez króla Francyi. Wychodząc z tego zapatrywania i ożywiony takim duchem, dziwić się nie można, że rozkazał, ażeby więźnia nie traktowano jako eks-cesarza, ale jako dymisyowanego generała. Tej linii wytycznej trzymał się Hudson Love i trzeba odczytać raz jeszcze wszystkie płaskie i bezecne prześladowania, jakiemi ścigał Napoleona, aby zrozumieć, jak usprawiedliwiony jest wyrok, który wydaje o nim autor. „Był to — jak powiada — człowiek ciasny. głupi, gniewliwy, całkowicie pozbawiony taktu i sympatyi. Nie był on szatanem, ale poprostu ograniczonem narzędziem ograniczonego rządu. Przedewszystkiem nie był on *gentlemenem*".

Gdy się wie olbrzymie znaczenie, jakie do pojęcia: „gentlemen" przywiązują Anglicy, to pozbawienie go tej właściwości jest najsroższem potępieniem, jakie spotkać mogło sir Hudsona Love. Nie podniesie się już po tym ciosie.

Możnaby, idąc za rozdziałami tej monografii, zebrać obfite pokłosie interesujących i ciekawych rysów, odnoszących się do Napoleona. Autor nie omieszkuje nigdy podnosić godności i dostojeństwa, jakie zachował wobec moralnych i materyalnych upokorzeń, co nań spadały bez przerwy, i wogóle każe w upadłym bohaterze uznawać strony czysto człowiecze, które pozwalają zrozumieć to całkowite oddanie się, to bałwochwalcze uwielbienie, które wzbudzać potrafił u swego otoczenia.

Najciekawsze są, jak się samo przez się rozumie, owe 30 czy 40 stronnic końcowych, gdzie lord Rosebery zbiera w jedną całość rozproszone rysy i daje ogólną charakterystykę Napoleona. Nie można się było spodziewać, aby powiedział coś zupełnie nowego, dotąd jeszcze nieusłyszanego, ale ponieważ nie zagrzewa go żadna nienawiść i nie oślepiają żadne uprzedzenia, sąd jego jest nie na jednym punkcie bezstronniejszy aniżeli tego lub owego z francuskich historyków i publicystów. Oddaje mu naprzód hołd za oczyszczenie i uporządkowanie Francyi po rewolucyjnym chaosie, za wyciągnięcie z zasad nowo obwieszczonych praktycznych rezultatów.

Nietylko że uznaje, co jest rzeczą elementarną, jego geniusz wojskowy, ale rozwodzi się nad tym, jaki okazał w administracyi. Charakterystyczną cechą tego geniuszu była jego wszechstronność, nie spotykana ani przedtem ani potem u nikogo drugiego. Nietylko, że pojmował znaczenie każdej ogólnej kwestyi, ale rozumiał wszystkie jej szczegóły, wchodził w nie i dyrygował nimi. Wielkość jego, jako prawodawcy jest jeszcze większą, aniżeli generała albo administratora a jego kodeks będzie o tem świadczył długie wieki, wytwarzając społeczeństwa na swej modle. Jego zdolność i wytrwałość do pracy, energia i siła woli, okazywana w drobiazgach nawet miały w sobie coś nadludzkiego. Autor jest do tego stopnia pod czarem jego osobistości, że uważa metodę jego działalności tak samo jak etyczne jej pobudki, za rzecz podrzędną, o którą dzieje, troszczące się jedynie o rezultaty, dbać nie potrzebują. Trudno posunąć dalej wyrozumiałość!

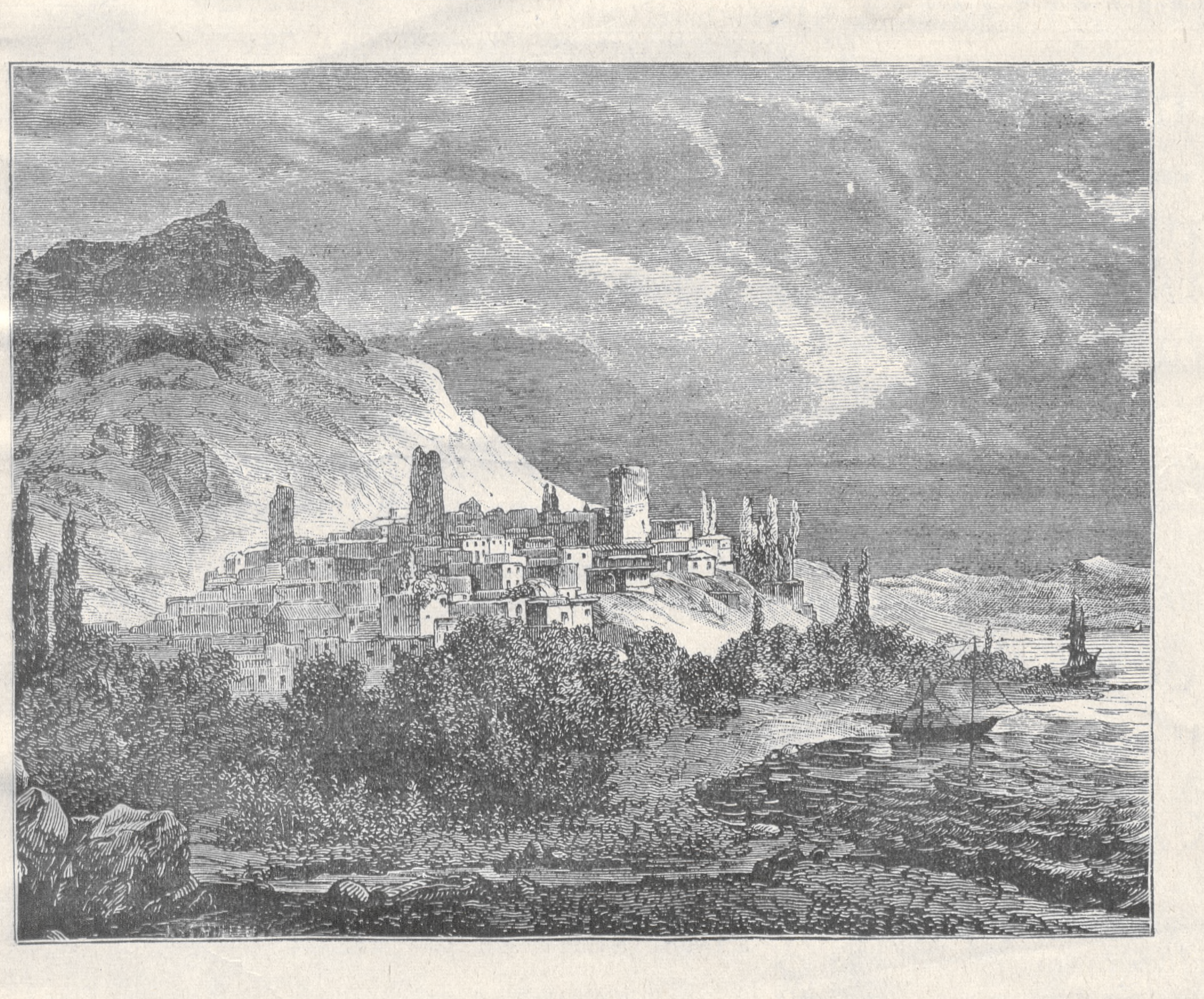
Upadek człowieka, który posiadał taki wyjątkowy, nadprzyrodzony geniusz, tłómaczy fizyczną niemożliwością utrzymania się przez długie lata na takich wyżynach. Zbyt wytężona struna pęka. Olśniony, oszołomiony powodzeniem Napoleon traci jasne kryteryum i nie jest w stanie odróżnić tego, co jest do dopięcia, co jest możliwe, co ma w sobie czynniki trwałości od fantastycznych przedsięwzięć i improwizacyj szalonych. Lord Rosebery wyraża przekonanie, że gdyby był umiał zakreślić granice swym podbojom i ustalić je przez stałą, systematyczną organizacyę, gmach przez niego wzniesiony nie byłby runął jak karciany. W rozdziale zatytułowanym „Ostatnie rozpamiętywania," przypomina i przyznaje słuszność tym znanym słowom Napoleona: „Gdybym był umarł w Moskwie, pozostawiłbym sobie sławę zdobywcy, jakiego równego nie było w dziejach; śmierć pod Borodinem podobnaby była do śmierci Aleksandra Macedońskiego; śmierć pod Dreznem, ale przedewszystkiem pod Waterloo byłaby wielką, byłaby piękną śmiercią: czemu nie znalazła się kula, którąby wtedy położyła kres memu życiu?" Na takie pytania odpowiada nie człowiek, choćby trząsł ludzkością, ale Opatrzność. Francya, jak powiada lord Rosebery, będzie w trudnych, a nawet w pomyślnych epokach swego rozwoju, zwracać się ku postaci Napoleona i ogrzewać się jego wielkością... Co do tego punktu możnaby uczynić zastrzeżenia, jeżeli autor mówi o możliwości powrotu jego dynastyi. Ale o tak kapitalny błąd pomawiać go nie ma się prawa.

(Nt.).

Nasze ryciny.

Cały numer dzisiejszy poświęciliśmy illustracyom, które mają przesuwać przed oczyma czytelnika szereg wspaniałych widoków przyrody, opiewanych przez Mickiewicza w „Sonetach krymskich". Wieszcz przybywszy, jak wiadomo, latem r. 1825 na półwysep starożytnej Taurydy, zwiedził piękniejsze miejscowości tego cudnego kraju, a wrażenia swoje zaklął po mistrzowsku w osiemnaście wspaniałych poematów, osiemnaście brylantów zdobiących skarbiec naszego piśmiennictwa. Fakt, że dzieła wieszcza zbłądziły już teraz jeżeli nie pod strzechy wieśniacze, to przynajmniej pod gontowe dachy mieszczańskich domków, że wszyscy karmiliśmy się ambrozyjską strawą jego pieśni, uwalnia nas od cytowania poematów, które powinny być i są źródłem rozkoszy estetycznej i słusznej dumy dla narodu, co takiego wydał poetę. Każdy dom polski posiada dziś całkowite wydanie arcydzieł wieszcza, a żaden komentarz, żadne objaśnienia nie mogłyby tak zwięźle, dosadnie a wspaniale uzupełnić zamieszczone dziś przez nas ryciny, jak subtelna koronka słów nieśmiertelnego Adama.

Pejzaże z „Sonetów krymskich" Mickiewicza.



Ałuszta (Sonety XI. i XII.)

Kronika literacko-artystyczna.

LITERATURA.

* „Obzor", dziennik chorwacki, wychodzący w Zagrzebiu, pomieścił w Nr. 252 gorąco napisany wiersz na cześć prezydenta Transwalu Krügera p. t. „Krügerov bieg", Wiersz ten jest podznaczony literą „Sz". W Nr. 257 tegoż pisma znajdujemy przekład pięknego opowiadania fińskiego autora Juhani Aho p. t. „Majka" (Matka). Przekładu dokonał O. Petković.

* W Paryżu zakończył życie Oskar Wilde, powieściopisarz i dramaturg angielski, który sławę swą splamił skandalicznym procesem, jaki mu wytoczył lord Queensberry w Londynie. Nieboszczyk łączył niepospolitą inteligencyę i talent niepowszedni z krańcowem zepsuciem moralnem. Przez długi czas cieszył się w kraju, a w towarzystwie londyńskiem specyalnie, wielką popularnością, tolerowano różne jego wybryki, jak np. noszenie biretu i kolorowego aksamitnego albo atłasowego ubrania; upadek jego był też tem zupełniejszy i tem większego nabrał rozgłosu. Po odsiedzeniu kary więziennej, Wilde przeniósł się do Paryża, gdzie żył pod nazwiskiem Sebastyana Memnoth'a. Dramaty jego, poezye i powieści miały [szerokie koło czytelników; ostatnim dziełem jego jest napisana w Paryżu sztuka p. t. „Salome". Z dawniejszych utworów scenicznych na wzmiankę zasługują: „Mąż idealny", Wachlarz lady Windermere" i „Nieszczęście Ernesta".

Tycho Mommsen, młodszy o dwa lata brat głośnego uczonego Teodora Mommsen'a zmarł w 82 roku życia, we Frankfurcie nad Menem. Nieboszczyk poświęcił się studyom literatury i historyi greckiej i był jednym z najlepszych znawców dzieł Pindara, do których napisał komentarz krytyczny. Wspólnie z bratem napisał i wydał tom poezyi.

* Wyszedł XI i XII zeszyt wydawnictwa artystycznego p. t. „Album sztuki polskiej", wychodzącego pod redakcyą artysty-malarza Henryka Piątkowskiego.

„Album" jak wiadomo, wraz z treściwym opisem podaje podobizny celniejszych dzieł artystów polskich z wystawy retrospektywnej, którą Towarzystwo przytułków noclegowych i tanich kuchni przed dwu laty urządziło w salach redutowych w Warszawie.

We wzmiankowanych zeszytach między innemi znajdujemy prace: A. Orłowskiego, F. Tegazzy, I. Grassiego, F. Lampiego, S. L. Norblina, J. Szermentowskiego, K. Kaniewskiego, Wł. Rodakowskiego, M. Gierymskiego, M. Bacciarellego, W. Pruszkowskiego, M. Płońskiego, Z. Vogła i t. d.

* „Czeska Revue" zamieściła kilka artykułów z dziedziny piśmiennictwa polskiego. Dr. Bożywoj Prusik podaje tu sylwetkę Reymonta i próbę przekładu z jego powieści p. t. „Ziemia obiecana". Dr. Józef Karasek omawia monografię I. K. Kochanowskiego „Witold książe litewski" i podaje przegląd bibliograficzny nowości polskich, zwłaszcza w wydaniach z okazyi jubileuszu jagielońskiego.

* Nową powieść Bourgeta zapowiada „Revue des deux Mondes."

* „Zvon" nowy tygodnik beletrystyczno-literacki czeski, począł wychodzić w Pradze od początku października pod redakcyą M. A. Szimaczka. Jest on organem generacyi, poczytywanej za starszą, ponieważ nie zrywa z tradycyami epoki Halka i Nerudy, którą „najmłodsi" (głównie zwolennicy dekadentyzmu, i wogóle moderniści) radziby z błotem zmieszać. „Zvon" wydaje „družstvo" (stowarzyszenie), pod przewodnictwem dr. med. J. Thomayera, do którego weszli: Jarosław Vrchlicky, Alojzy Jirasek, Adolf Heyduk, Zygm. Winter, Fr. Herites, Karol Kuczera, Fr. Kvapil, K. W. Rais, F. Ks. Svoboda, M. A. Szimaczek, Ant. Klasztersky, F. S. Prochazka i Jaromir Borecky, a zatem czoło dzisiejszej beletrystyki i poezyi czeskiej. Piękne utwory nowelistyczne, powieściowe i poetyczne zdobią pierwsze numery „Zvonu". W fejletonie, obok sprawozdań z literatury czeskiej znajdujemy i notatki ze współczesnej literatury polskiej.

* „Adolf Starkman. Szał miłości. Szkic powieściowy". Niektórzy, zwłaszcza należący do najmłodszych generacyi pisarze, lubują się w odtwarzaniu, a raczej wiernem i przejrzystem fotografowaniu w swych powieściach, wydarzeń niedawno zaszłych i osób wszystkim znanych. Nie możemy powiedzieć, by ten rodzaj nie twórczości, bo tak nazwać tego nie można, ale kopiowanie wypadków znanych i ludzi żywych, nam się podobał. Ma to wszytkie cechy paszkwilu, i jeżeli nie zbawia takiej pracy talent literacki, ale i w takim razie zaliczyć ją należy do najniższego gatunku twórczości choćby z tego względu, że gra na najpoziomszych ludzkich namiętnościach i przywarach.

Do rzędu takich powieści należy i ta, której tytuł na czele umieściliśmy. P. Starkman, który o ile wiemy, poraz pierwszy wziął się do szerszej literackiej roboty, znany był dotąd jako dzienikarz i humorysta, szkoda tylko, że nawet tego, specyficznie warszawskiego humoru w powieści, o której mowa, nie ma. Tematem jej jest historya miłości człowieka którego cała Warszawa zna, który żyje dotąd i uwagę gapiów i plotkarzy na siebie zwraca. Wszystkie osoby występujące w powieści, a ukryte pod nader przejrzystemi nazwiskami istnieją, mieszkają w Warszawie, i to istnienie nadaje temu obrazkowi paszkwilowy smaczek, dzięki czemu w pewnych kołach warszawskich czytana ona będzie chciwie i będzie przedmiotem rozmów, jako najnowszy skandal.

* „Obrazy w sali rycerskiej na Jasnej Górze w Częstochowie", opracował ks. Józef Adamczyk. Warszawa. Druk Tow. akc. artyst. wyd. 1900.

Ogień niszczący wieżę Jasnogórską, przyniósł olbrzymią korzyść świątnicy M. Królowej. Widziała ją bowiem cała Polska, ta dawna od morza do morza, odczuło każde serce, które nie zaparło się swej Matki — Ojczyzny. I popłynęły datki, w złocie od bogatszych, w miedzianych groszach od biednych. Wszyscy przypomnieli sobie, iż choć każda piędź ziemi polskiej jest skarbem, bo krwią męczenników przesiąknięta, choć każdy łan ziemi ojczystej jest sławny, bo na nim rozgrywały się wiekopomne tany rycerstwa z wrogiem wiary, to Częstochowa i jej świątynia Jasnogórska jest miejscem najdroższem i najsławniejszem. Była widownią największych cudów Boga nad naszym narodem i posiada skarb nad skarbami, obraz cudowny Matki Królowej Korony polskiej. Nie jedno serce odczuło pragnienie oglądania skarbów narodowych na Jasnej górze, lecz zarazem niejeden stłumił to pragnienie wobec życia, pracy lub obowiązku, stojącego na przeszkodzie. Jeden z ojców klasztoru Jasnogórskiego pozornie małą lecz bardzo drogą dla serc polskich napisał książeczkę. Dziewięć starożytnych obrazów, zdobiących t. z. salę rycerską klasztoru, w pięknych chromolitografiach, on podaje miłośnikom pamiątek ojczystych. Obraz każdy starannie, źródłowo opisany, odnawia w sercu czytelnika wrażenie wspaniałych chwil, które przeżywała ta świątynia a z nią cała Polska. Wdzięczność prawdziwa należy się autorowi. Śliczne wydanie to powinno się znaleść na stole w każdym domu polskim; cena bardzo przystępna nie odstraszy i biedniejszych, a niejeden może dać to dziełko w upominku noworocznym, rozbudzając temsamem w sercu dziecka, ozdoby uczuć polskich i ich koronę — miłość dla Matki Boskiej i Matki Ojczyzny. *X. A. W.*

* Żłóbek betlejemski — w trzech obrazach, ułożył Mast. — Nakładem W. Korneckiego, skład główny u Raszki w Tarnowie.

W ostatnich czasach pojawił się u nas zwyczaj, że wystawiają Jasełka, które mają nam przypominać Narodzenie P. Jezusa. Różni też autorowie te Jasełka różnie pojmowali, stąd pochodzi, że mamy w literaturze i rzeczy naiwne dla dzieci i rzeczy poważniejsze dla starszych, które zakrawają nawet na operę. Ale rzadko się może spotkać rzecz taką, jaką mamy przed sobą p. t. „Żłóbek betlejemski" w trzech obrazach, ułożoną przez p. Mast. (prof. Matwija), a wydaną nakładem W. Korneckiego, bo może ona zająć tak młodych jak i starszych. — Niech łaskawy czytelnik pozwoli, że mu przedstawię treść.

W pierwszym obozie widzimy pole, na którem pasą się trzody i pasterze rozmawiają o doli niewolnika. Jest to bardzo dobre zrozumienie życia starożytnego, w którem autor uwydatnił tę różnicę między osobą — obywatelem a rzeczą — niewolnikiem. I ten niewolnik cieszy się, gdy Symeon zapowiada:

Bo oto przyjdzie wnet Zbawiciel świata,
Co zniesie wszelką przemoc i kajdany,
I każdy w bliźnim odtąd uzna brata.

Radość ich nie ma granic, bo każdy radby ujrzeć Zbawiciela, któremu co może, pragnie ofiarować; to też, gdy aniołowie tę radosną nowinę im głoszą, że się narodził Zbawiciel, spieszą do Betleem.

W drugim obrazie pragnie autor przedstawić nam Heroda, człowieka chciwego władzy, nieufającego nikomu, ani sobie, do którego przychodzą trzej Mędrcy ze wschodu, aby się dowiedzieć, gdzie się narodził Zbawiciel. Pragnie więc najsamprzód tę wieść wyśmiać, ale gdy mu uczeni odczytują proroctwa o narodzeniu Zbawiciela, wtedy chytry ten człowiek poleca Mędrcom, by Go szukali, a gdy znajdą, jemu donieśli, bo chce tego Króla powitać. To mu nie przeszkadza, że po odejściu Mędrców przywołuje sługę Efroima i każe mu wymordować dzieci. Ten atoli się wzbrania i prosi, by Heród komu innemu polecił tę misyę. Woła wtedy setnika Krassusa i jemu rozkazuje. Ale Krassus chytry nie nawidzi wszystkich żydów, a więc radzi królowi, by kazał zabić własnego syna, bo ten najprędzej mu może wydrzeć władzę — i Heród się zgadza, byle się nie pozbawić władzy i złotego cielca.

Najpiękniejszym jest obraz trzeci, w którym autor przedstawia nam ubożuchną stajenkę, a w niej św. Rodzinę. Matka Boska jest bardzo zakłopotana, że Jej dziecię nagie i odmawia ów hymn nad hymnami: „Uwielbiaj duszo moja Pana", a kończy go prośbą do Boga Syna, aby Ją uczynił opiekunką ludzi i nad nędznymi, których życie boli:

„I nad tą Polską w dalekiej północy,
Która Królową mnie swoją ogłosi".

Aniołowie wysłuchują prośbę N. Maryi i sprowadzają pasterzy i Trzech Mędrców, którzy przynoszą dary Temu, który się narodził, aby świat Swą krwią zbawić, a hołd swój kończą:

„Poprośmy klęcząc wraz Dziecinę Bożą.
Niech nam i braciom naszym i Ojczyźnie
I wszelkiej pracy naszej błogosławi!"

Z przytoczonej treści widać zatem, jak „Żłóbek betlejemski" jest prostym a pięknym, jeśli do tego dodamy, że Szan. autor napisał go wierszem białym 11-sto i 7-mio zgłoskowym, to sądzimy, że znajdzie rychły pokup u szerszej publiczności, bo nadto przeplata autor całą rzecz kolędami naszemi, swojskiemi, które każdy dobrze zna. Stąd wniosek, że niepotrzeba wcale żadnej wyuczonej, artystycznej orkiestry i bardzo łatwo może być wykonany. Cieszymy się też, że ten kierunek literatury się rozwija, a prof. Matwijowi życzymy, by Jego muza nie popadła w letarg.

G. Kozłowski.

Z drukarni i stereotypii A. Koziańskiego w Krakowie. Odpowiedzialny Redaktor i Wydawca: **Kazimierz Ehrenberg.**